

SWIFT.



# Podróże Gulliwera

do nieznanych krajów.

III. PODRÓŻ do LAPUTY,

Balbinarbi,

Luggnagu, Glubbudbrib i Japonii.

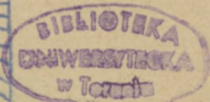


ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

*Życiorys autora znajduje się w tomiku I.  
„Podróży Gulliwera.“*

Redakcja „Bibl. powsz.“



020

1222627

### III. Podróż do Laputy, Balbinarbi, Luggnagu, Glubbdubdrib i Japonii.

#### ROZDZIAŁ I.

Autor odbywa trzecią podróż. Zostaje wzięty przez korsarzy. Złośliwość Holendra. Dostaje się do Laputy.

Dziesięć dni jeszcze nie upłynęło jakem bawił w domu, gdy mnie odwiedził kapitan William Robinson z Kornwallis, dowódca okrętu *Nadzieja*, mocnej budowy, trzysta beczek ładunku obejmującego. Byłem dawniej chirurgiem na innym okręcie, który z czwartą częścią ładunku do niego należał, i odprawiłem z nim podróż do Lewanty. Obchodził się ze mną nie jako z sobie podwładnym, ale jak z własnym bratem. Skoro więc dowiedział się o moim powrocie, przyszedł do mnie, jedynie dla okazania mi, jakem się domyślał, swojej ku mnie życzliwości, gdyż tą razą mówił tylko o rzeczach po długim niewidzeniu przyjaciela zwyczajnych. Lecz później odwiedzał mnie bardzo często, cieszył się mocno z pomyślnego stanu mojego zdrowia, i pytał mnie się, czy już mam stały

sposób do życia. Powiedział mi, że zamysła odprawić podróż do Indyi wschodnich, a narzeczcie po wielu przysposobieniach, zaproponował mi miejsce pierwszego chirurga na swoim okręcie. Podchirurg i dwaj pomocnicy, mieli być pod moimi rozkazami, miałem dostać podwójną płacę; w końcu dodał, że gdy w marynarce tyle prawie posiadam znajomości ile on sam, więc przyrzeka mi zasięgać zawsze mojej rady, równie jakbym był współdowódcą okrętu.

Powiedział mi jeszcze wiele pochlebnych dla mnie rzeczy, a ponieważ znałem go jako człowieka bardzo poczciwego, nie chciałem jego propozycyi odrzucić. Chęć widzenia świata była we mnie mimo doznanych nieszczęść, tak silną jak przedtem. Jedyną trudność była, dostać pozwolenie mojej żony; lecz uzyskałem je, przedstawiając jej, jakie korzyści dzieci nasze z tej podróży mieć mogą.

Wyłynęliśmy dnia 5 go sierpnia 1706 i 11-go kwietnia wylądowaliśmy przy fortecy Śgo Grzegorza, gdzieśmy trzy tygodnie zabawili, dla orzeźwienia naszych ludzi, z których większa część w drodze zachorowała.

Stamtąd żeglłowaliśmy do Tunkinu, gdzie kapitan przez kilka miesięcy zostać postanowił, bo towary które chciał zakupić, jeszcze w całości na miejscu nie były i dopiero

w przeciągu kilku miesięcy można było je zebrać. Dla wynagrodzenia wynikającej stąd szkody, kupił szalupę, naładował ją towarami, którymi Tunkińczycy zwykli handlować po przyległych wyspach; opatrzył ją czternastoma ludźmi i mianował mnie dowódcą, upoważniając do prowadzenia handlu, podczas gdy on swoje interesa w Tunkinie załatwi.

Trzy dni byliśmy na morzu, gdy gwałtowna burza zapędziła nas ku północno-wschodniej a potem ku wschodniej stronie: uciekła po niej jakim czasie, tylko wiatr zachodni mocno jeszcze powiewał. Dziesiątego dnia, dwa statki korsarskie zaczęły nas ścigać i niezadługo dogonili, bo mój statek był tak ciężko naładowany, że tylko pomału mogłem żeglować, bronić się zaś wcale nie byliśmy w stanie.

Obydwaj korsarze zarzucili kotwice i na czele swych ludzi z zapalczywością do naszego statku wpadli; lecz znalazłszy nas wszystkich na ziemi leżących, co ja pierwaj jeszcze uczynić rozkazałem, związali nas tylko grubymi powrozami i postawili przy nas wartę: potem wzięli się do przeglądania statku.

Między korsarzami spostrzegłem Holenderczyka, który zdawał się być u zbójców w wielkiem poważaniu, lubo nie był dowódcą żadnego z obu statków. Poznał po naszych rysach twarzy, że jesteśmy Anglikami, prze-

mówił więc do nas swoim językiem, zapewniając, że nas tyłem do siebie zwiążą i w morze wrzucą. Umiejąc cokolwiek mówić po holendersku, powiedziałem mu przeto kto jesteście, i zaklinałem go, aby za nas jako za chrześcian, protestantów, sąsiadów i sprzymierzonych, prosił kapitanów, aby się z większą łagodnością z nami obchodzili. Lecz mowa moja mocno go rozgniewała, obrócił się do swoich i mówił do nich z wielką zawziętością po japońsku, powtarzając często wyraz *christianos*.

Większy ze statków korsarskich miał za dowódcę Japończyka, który mówił cokolwiek po holendersku; ten zbliżył się do mnie, zadał mi kilka pytań na które z pokorą odpowiedziałem, i na ostatku zapewnił mnie, że nam życia nie odbiorą. Dziękowałem mu zato bardzo i obróciwszy się do Holendra, powiedziałem mu: że żał mi, znaleźć więcej ludzkości w bałwochwalcy niż w chrześcianinie. Wnet jednak żałowałem tych słów nieroztropnie wyrzeczonych, gdyż bezwstydy ten człowiek starał się wszelkimi sposobami nakłonić kapitanów do wrzucenia mnie w morze, a gdy tego uczynić nie chcieli z powodu danego mi słowa, wymógł na nich przez swoje namowy i uporczywe nalegania, że jeszcze okrutniej ze mną postąpiono niż gdyby mi byli życie odebrali.

Ludzie moi podzieleni zostali na oba statki korsarskie, a szalupa ludźmi ich została uzbrojona, mnie zaś postanowiono puścić w małym czólnie żaglami i wiosłami opatrzonem na morze, dając mi tylko na cztery dni żywności. Kapitan japoński był jednak tak łaskaw podwoić mi żywność z własnych zapasów i nie pozwolił mnie obdzierać. Musiałem więc wsiąść w czółno, podczas gdy mnie Holender na pokładzie stojący, obarczał wszelkimi przekleństwami i najzelżywszemi słowami, jakich tylko jego język mógł mi dostarczyć.

Godzinę przedtem, niemiśmy korsarzy zobaczyli, robiłem na moim statku postrzeżenia i znalazłem, żeśmy się pod 46. stopniem północnej szerokości a 183. długości znajdowali. Jakem już cokolwiek od korsarzy był oddalony, zobaczyłem przez perspektywę w południowo-wschodniej stronie kilka wysp. Wiatr był bardzo pomyślny, rozwinąłem więc żagle w zamiarze dostania się do jednej z nich, co mi się też szczęśliwie w przeciągu trzech godzin udało. Wyspa ta była całkiem skalista. Znalazłszy jednak między skałami wiele jaj dzikich ptaków, zrobiłem ogień zapomocą krzesiwa, zapaliłem wrzos i sitowie morskie i ugotowałem jaja; postanowiłem bowiem żywność moją najdłużej jak tylko można będzie zachować. Noc przepędziłem pod skałą, roz-

postarłem sobie cokolwiek wrzосу i spałem dosyć spokojnie.

Następującego dnia popłynąłem do innej wyspy, potem do trzeciej, do czwartej, używając naprzemian żagliów i wiosła, aż nareszcie, nie chcąc szczegółami nudzić czytelnika powiem tylko, że piątego dnia dopłynąłem ostatniej wyspy, którą widziałem.

Leżała ona w południowo-wschodniej stronie i w daleko większej od drugich odległości niżem sobie wystawiał, tak, że ją dopiero po pięciogodzinnej żegludze od przedostatniej wyspy, dosięgnąć mogłem. Musiałem ją naokoło opłynąć, nimem znalazł małą trzy razy może od mojego czółna większą zatokę. Wyspa była wszędzie skalista i tylko w niektórych miejscach rosła trawa i pachnące zioła. Wziąłem moją żywność z czółna, a posiliwszy się trochę schowałem resztę w jednej z wielu jaskiń na wyspie będących. Nazbierałem jaj, urwałem wrzосу i sitowia, chcąc je nazajutrz zapalić dla ugotowania jaj, gdyż miałem przy sobie krzesiwo, hubkę i szkło zapalające.

Całą noc leżałem w jaskini gdzie żywność schowałem, wrzós na ogień przygotowany służył mi za posłanie. Mało jednak spałem gdyż niespokojność umysłu przewyciężała znużenie ciała i snu niedopuszczała. Rozmyślałem ciągle, że żadnym sposobem w tak pustem miejscu

żyć nie mogę, i że najędźniejszy koniec mnie czeka. Byłem tak smutny i osłabiony, że nawet ruszać się nie mogłem i już wielki był dzień, gdy się podnieść zdołałem.

Przechadzałem się przez niejaki czas po skałach, lecz słońce tak mocno paliło, że twarz odwrócić musiałem: w tem nagle słońce tak się zaciemniło, że to przez chmurę żadnym sposobem stać się nie mogło. Obróciłem się i zobaczyłem między mną a słońcem wielkie i ciemne ciało, które ku wyspie się zbliżało, w wysokości może dwóch mil, i zakryło słońce przez 6 lub 7 minut. Nie spostrzegłem jednak ażeby powietrze było zimniejsze i niebo ciemniejsze niżeli gdybym się znajdował w cieniu wielkiej góry. Gdy się to zjawisko więcej do miejsca gdzie stałem zbliżyło, poznałem, że jest ze stałej materji, z gładkim i płaskim spodem, który przez odbijające się o niego z morza promienie słoneczne przepysznie się świecił. Stałem na wzgórzu 200 kroków od brzegu i widziałem, że ogromne to ciało w równoległej prawie z mojem stanowiskiem linii spuściło się w odległości nie wynoszącej pół mili. Wziąłem mój teleskop i widziałem ludzi uwijających się na brzegach tego ciała cokolwiek spadzistych, nie mogłem jednak dostrzedz coby robili.

Naturalna miłość życia, wzbudziła we

mnie radość i powziąłem nadzieję, że ten przypadek wybawi mnie może z tak smutnego położenia; lecz trudno czytelnik wystawić sobie potrafi wielkie moje zadziwienie, gdy zobaczyłem w powietrzu wyspę przez ludzi zamieszkaną, którzy, jak się zdawało, byli w możności podnosić ją i spuszczać lub w prostym kierunku wedle upodobania poruszać; nie będąc jednakże wtenczas usposobiony do filozofowania nad tym fenomenem, uważałem tylko dokąd się obróci, bo zdawało mi się iż się w biegu swoim przez niejaki czas zatrzymała.

Niedługo potem zaczynała się zbliżać do miejsca gdzie ja byłem, i wyraźnie mogłem widzieć po stronach wiele galeryi i schodów do wchodzenia na górę i schodzenia. Na jednej z najniższych galeryi ujrzałem wielu ludzi łowiących długimi wędkami ryby a innych przypatrujących się temu. Dawałem znaki czapką (kapelusz mój już dawno był zużyty), powiewałem chustką i wołałem ze wszystkich sił; a przypatrując się uważniej, spostrzegłem że wielka masa ludzi zgromadziła się na przeciwległej mnie stronie i po ich minach osądziłem że mnie odkryli, chociaż mi nie odpowiedzieli. Zobaczyłem potem pięciu czy sześciu ludzi, z największą prędkością na szczyt wyspy biegnących, i domyśliłem się, że

znaczna jaka osoba posłała ich tamże dla wykonania danych im rozkazów.

Tłum ludzi coraz się powiększał i w przeciągu pół godziny, wyspa tak się zbliżyła, że tylko może 100 łokci odległa była od miejsca gdzie stałem. Przyjąłem postawę proszącego i przemówiłem w tonie najpokorniejszym; lecz żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Ci którzy się znajdowali najbliżej mnie, sądząc z ich ubioru, zdawali się być osobami bardzo znakomitemi. Naradzali się między sobą patrząc często na mnie. Nareszcie jeden z nich przemówił do mnie językiem przyjemnym i wyrażnym, wielkie do włoskiego podobieństwo mającym. Odpowiedziałem mu też po włosku w mniemaniu, że ton tego języka może przyjemniejszy im będzie od innych. Chociaż to wszystko było nadaremne, bo zrozumieć się wcale nie mogliśmy, poznano jednakże, że w nieszczęśliwym znajduję położeniu i dano mi znak, ażebym zszedł z wzgórza i udał się na brzeg; co też uczyniłem. Natenczas wyspa zniżyła się cokolwiek i z jednej z najniższych galeryi spuszczone łańcuch z przywiązaniem do niego krzesłem, na które wsiadłszy, w momencie za pomocą windy zostałem podniesiony do góry.

## ROZDZIAŁ II.

Opis Laputyanów. Ich wiadomości. Król i dwór jego. Przyjęcie jakiego autor doznaje. Mieszkańcy są bojaźliwi i niespokojni. Charakter kobiet.

Za mojem przybyciem, wielki tłum ludzi ze wszech stron mnie otoczył; najbliżej mnie stojący zdawali się być znakomitemi bardzo osobami. Wszyscy patrzali na mnie z oznakami największego zadziwienia; i ja nie mniej na ich widok zdumiewałem się, bo w całym życiu mojem nie widziałem ludzi tak dziwnych i osobliwych w postaci, ubiorze i obyczajach: głowy mieli na jedną lub drugą stronę schylone, jedno oko ku ziemi zwrócone, drugie na niebo. Ubiory ich ozdobione były niezliczonymi figurami słońca, księżycy, gwiazd, jako też różnych instrumentów muzycznych, fletów, arf, skrzypców, trąb, gitar i innych w Europie wcale nieznanym.

Przy niektórych osobach widziałem ludzi w ubiorze służących; mieli oni w ręku laskę do której przywiązany był pęcherz suchym grochem lub kamykami napełniony: temi grzechotali niekiedy koło uszy lub ust swoich panów; przyczyny zaś tego wytłómaczyć sobie wtenczas żadnym sposobem nie mogłem.

Zdaje się, że ci ludzie są tak zatopieni w głębokich rozmyślaniach, że ani mówić nie

moga, ani słyszeć mówiących, jeżeli ich organy słuchu i mowy przez zewnętrzne wrażenie nie zostają obudzone. Przeto też majątniejsi trzymają sobie takich budzicieli, w ich języku *Climenole* zwanych, bez których nigdy z domu nie wychodzą.

Obowiązkiem takiego budziciela jest, kiedy kilka osób w towarzystwo się schodzi, uderzać swoją grzechotką tego z nich który chce mówić po ustach, a tych co mają słyszeć po uszach. Nie mniej potrzebują tych budzicieli kiedy wychodzą, aby im dawali małe uderzenia na oczy, bo przez swoje roztargnienie mogą co moment wpaść w przepaść, strzaskać sobie głowę o słup, trącać chodzących na ulicy, lub przez tychże do rynsztoku być wyrzucenymi.

Te uwagi były niezbędnie potrzebne, aby nie zostawić czytelnika w zdumieniu w jakim ja się z przyczyny dziwnego postępowania tych ludzi znajdowałem, kiedy mnie na szczyt wyspy, do pałacu królewskiego prowadzono. Podczas gdyśmy tam szli, przewodnicy moi zapominali często co mieli czynić, i zostawiali mnie samemu sobie aż budziciel ich obudził; ani postać moja, ani ubiór cudzoziemski, ani krzyki mniej roztargnionego ludu, nie sprawiały na nich najmniejszego wrażenia.

Nareszcie weszliśmy do pałacu i do sali

audencyonalnej. Król siedział na tronie otoczony najdosłojniejszymi osobami. Przed tronem stał wielki stół, zastawiony globami ziemi i nieba i mnóstwem instrumentów matematycznych. Król nie spostrzegł nas wcale, chociaż wielki zrobił się hałas przez wejście ze mną wielu do dworu należących: był wtenczas mocno zagłębiony w jakimś problemacie, i całą godzinę musieliśmy czekać aż go rozwiązał. Na każdej stronie stał koło niego paż z grzechotką, i gdy widzieli że już nie jest zajęty, uderzył go jeden łagodnie w usta, drugi w prawe ucho. Porwał się wtedy jakby ze snu obudzony, patrzył długo na mnie i na całe otaczające mnie towarzystwo, aż sobie przypomniał przyczynę naszego przyjścia, o której go już przedtem uwiadomiono. Wyrzekł kilka słów, i natychmiast zbliżył się do mnie młody człowiek i uderzył mnie łagodnie w prawe ucho; lecz ja dałem mu przez znaki do zrozumienia, że wcale takiego instrumentu nie potrzebuję, przez co król i cały dwór najgorsze o moim rozumie powzięli mniemanie. Król zadał mi kilka pytań na które odpowiedziałem we wszystkich jakie tylko umiałem językach; lecz gdy widziano, że ani zrozumieć ani rozumiany być nie mogę, zapowadzono mnie na rozkaz króla do pięknego pokoju w pałacu i dwóch służących

dano mi do usługi, gdyż monarcha ten odznaczał się wielką gościnnością.

Zastawiono do obiadu, i cztery znakomite osoby raczyły mnie zaszczycić swoim towarzystwem: mieliśmy dwa dania po trzy porrawy. Pierwsze składało się z łopatki baraniej w *trójkąt* przykrojonej, z pieczeni wołowej w formie *romboidu*, i budynku w kształcie *cykloidy*: drugie z dwóch kaczek podobnych dwóm skrzypcom, kiełbas i kiszek wyglądających jak flety i oboje, i mostka cielęcego przedstawiającego arfę. Służący pokrajali chleb w formy *walców*, *graniastosłupów* i innych ciał matematycznych.

Podczas obiadu pozwoliłem sobie spytać się o nazwiska wielu rzeczy w języku krajowym, i znakomici towarzysze moi byli łaskawi odpowiadać mi przy pomocy swoich budzicieli, w mniemaniu zapewne: że będę podziwiał ich zdolności i talenta nadzwyczajne, jeżeli potrafię rozmawiać z nimi. Niezadługo byłem wstanie żądać chleba, wina i innych rzeczy potrzebnych.

Po obiedzie oddalili się goście moi, i jeden człowiek z budzicielem przyszedł do mnie, mając ze sobą pióro, atrament, papier i kilka książek, w celu uczenia mnie — jak mi znakami dał do zrozumienia — języka krajowego. Byliśmy razem przez cztery godziny, i przez ten czas napisałem w dwóch przeciwnych



kolumnach mnóstwo wyrazów z tłumaczeniem: nauczył mnie też na pamięć wielu krótkich zdań, których sens dał mi poznać, czyniąc to, lub każąc czynić budzicielowi co znały. Pokazał mi też w jakiejś książce figurę słońca, księżycy, gwiazd, zodyaka, zwrotników, i kół biegunowych, powiadając mi nazwy tychże. Opisał mi także instrumenta muzyczne i pokazał mi sposób grania na nich. Po lekcji ułożyłem sobie z tego wszystkiego mały słowniczek i w przeciągu kilku dni umiałem, dzięki dobrej pamięci mojej, dosyć dobrze po laputańsku.

Wyraz, który przez „latająca lub unosząca się wyspa“ tłumacza, jest *Laputa*: prawdziwej etymologii tego wyrazu dojść nie mogłem. *Lap* znaczący dawniej w tym języku wysoko, a *untuh* rządcą, z tych dwóch więc wyrazów zrobiło się przez fałszywe wymawianie *Laputa* zamiast *Lapuntuh*. To wywodzenie jako zbyt naciągane nie bardzo mi się podobało; ośmieliłem się więc przedłożyć uczonym inne przezemnie wynalezione, to jest: że *Laputa* pochodzi z *laputet*; *lap* znaczy lśknienie się promieni słonecznych na morzu, *utet* skrzydło. Nie chcę nikomu, mojego wywodzenia narzucać, podając je tylko pod sąd rozumnego czytelnika.

Ci którym mnie król powierzył, widząc

że bardzo źle jestem ubrany, przysłali mi krawca dla wzięcia miary do nowego ubioru.

Rzemieślnik ten wcale inaczej brał miarę niż nasi w Europie. Wysokość mojego ciała odmierzył kwadrantem, grubość moją i proporcją wszystkich członków, linią i cyrklem, i to wszystko przeniósł na papier. Po sześciu dniach przyniósł mi ubiór, który wcale nie pasował; uniewinnił się jednak, że mały błąd wkraść się w jedną algebraiczną formułkę miary. Ku mojemu pocieszeniu, widziałem że takie przypadki często się zdarzały i że nikt na to nie zważał.

Dla braku przyzwoitej odzieży i z powodu małej słabości, nie mogłem przez kilka dni wychodzić: powiększył się przez to mój dykcyonarz i jakim znowu pierwszy raz udał się do dworu, potrafiłem już odpowiadać na niektóre zapytania królewskie.

Król dał rozkaz ażeby wyspę posunięto ku *Lagado*, stolicy całego Królestwa na stałym lądzie, i ażeby się w niektórych miastach i wsiach zatrzymała, dla przyjmowania próśb od swoich poddanych. W tym celu spuszczone z wyspy długie szpagaty z wiszącą na końcu ołowianką, i lud przywiązywał do nich swoje próśby, które gdy je ciągniono do góry, jak latawce wyglądały. Podobnym sposobem otrzymaliśmy z dołu wino i żywność.

Znajomość moja matematyki i muzyki dopomagała mi wiele do zrozumienia ich sposobów mówienia i przenosiń wziętych po większej części z tych dwóch umiejętności. Wszystkie swoje myśli wyrażają liniami lub figurami. Jeżeli np. chcą chwalić piękność kobiety lub innego stworzenia, opisują to figurami geometrycznymi, i tak mówią: że białe zęby jakiej pięknej dziewczyny są śliczne i doskonałe *równoległoboki*; jej brwi, miłym łukiem, albo piękną cząstką *kola*; jej piersi są ozdobione dwoma *półglobami*, i t. d.

Widziałem w kuchniach królewskich różne gatunki instrumentów matematycznych i muzycznych, i podług ich figur krają mięsiwa na stół królewski przeznaczone.

Domy ich są najgorzej zbudowane, mury są krzywe i rzadko w pokojach znaleźć można prawdziwy kąt prosty. Pochodzi to z wielkiej wzdary, którą mają dla geometrii praktycznej, za rzecz prostą i mechaniczną przez nich uważanej. Przepisy, które dają swoim robotnikom, są dla nich zanadto zawile i niezrozumiałe, aby mogły być dokładnie uskutecznione: stąd pochodzą niezliczone błędy. Lubo w używaniu linii, ołówka i cyrkla są bardzo biegli, nie widziałem jednak w mojem życiu niezręczniejszego i niezgrabniejszego narodu, we wszystkich czynnościach najpospo-

litszych, wyjąwszy matematykę i muzykę. Są też bardzo złymi logikami i skłonni zawsze do sprzeciwiania się, lubo rzadko kiedy mają zdanie trafne. Fantazya i przemysł są przymioty wcale u nich nie znajome, nawet język ich nie ma na to żadnego wyrażenia; wszystkie ich myśli ograniczają się wyżej wspomnianymi umiejętnościami.

Wielu z nich, osobiwie zatrudniający się astronomią, wierzy w astrologią, lubo się wstydzą wyznać to publicznie. Najbardziej się dziwowałem nad namiętną ich skłonnością do polityki i nowości: mówią bezustannie o sprawach krajowych i uporczywie bronią lub zbijają mniemania różnych partyi.

Tę skłonność znalazłem i u europejskich matematyków, lubo podobieństwa matematyki do polityki żadnym sposobem nie mogłem odkryć, może myślą: że ponieważ najmniejsze koło, ma tyle stopni ile i największe, można przeto z równą łatwością rządzić światem, jak kierować globem; lecz to jest podobno zwyczajną słabością wszystkich ludzi, mieszać się w rzeczy, które ich bynajmniej nie obchodzą, i do których żadnych nie posiadają zdolności.

Naród ten żyje w bezustannej niespokojności i trwodze, a to z przyczyn, któreby najmniejszych wrażeń na innych nie sprawiły.

Obawiają się zawsze pewnych odmian w ciachach niebieskich, tak np. myślą, że słońce musi naostatku pochłonąć ziemię, ponieważ ta bezustannie się do niego zbliża; że słońce przez swoje ciągłe emanacje okryje się z czasem grubą skorupą i przestanie oświetlać ziemię. Utrzymują: że jeżeli ziemia ledwo uszła szczęśliwie pierwszemu komecie, który ją niezawodnie mógł zniszczyć, nie ujdzie przed drugim, który za trzydzieści i jeden lat nieomylnie się zjawi i w zbliżeniu się swoim do słońca, przyjmie od niego gorącość dziesięć tysięcy razy większą, niżeli czerwonego żelaza, a oddalając się od słońca, rozpostrze płomienisty ogon 140.000 mil długości mający, przez który ziemia, nawet w odległości 100.000 mil od ciała komety, spalona i w niwecz obrócona zostanie: że słońce rozsiewając ciągle swoje promienie, wyczerpnie się nareszcie i zginie, a zatem pociągnie za sobą zgubę naszego planety i wszystkich od słońca światło dostających.

Zostawają w ciągłej niespokojności i bojaźni z powodu tych niebezpieczeństw, ani snu ani najmniejszej przyjemności życia używać przez to nie mogą. Jeżeli rano spotykają się, pierwsze pytanie jest zawsze: jak się ma słońce, w jakim stanie wschodziło i zachodziło?

Kobiety tej wyspy są niezmiernie żywe,

gardzą swymi mężami i lubią bardzo cudzoziemców, których wielu zawsze jest u dworu dla załatwiania interesów własnych, jakoteż różnych korporacji i miast stałego lądu. Laputanie nie považają ich wcale, bo nie posiadają żadnych znamienitych zdolności umysłowych. Z pomiędzy nich wybierają Laputanki swoich kochanków; lecz najgorsze w tem jest to, że mogą sobie pozwalać nawet największych poufałości ze swoimi kochankami w obec własnych swych mężów, którzy tak są zatopieni w rozmyślaniach, że jeżeli mają przed sobą papier i instrument w ręku, a budziciel przypadkiem się oddali, nic z tego wszystkiego nie widzą.

Mężatki i panny uskarżają się ciągle że są odosobnione na tej wyspie, i lubo uważają ją jako najprzyjemniejsze miejsce na świecie, pragną jednakże niezmiernie widzieć świat i żyć w stolicy. Lecz nie wolno im tam się udawać bez pozwolenia króla, które tylko z największą trudnością dostać można, bo mężowie ich przekonali się nieraz, że ciężko nakłonić je do powrotu.

Opowiadano mi że pewna dworska dama, żona pierwszego ministra, człowieka bardzo przystojnego i bogatego, który ją niezmiernie kochał: udała się pod pozorem polepszenia zdrowia do *Lagado*, i została tam przez długi

czas, aż Król dał rozkaz, ażeby ją wyszukano i napowrót odesłano. Znaleźli ją w podłej szynkowni, całkiem obdarta, bo sprzedała wszystką swą odzież i rzeczy dla wyżywienia brzydkiego lokaja, który ją codziem batem okładał. Z największem tylko usiłowaniem można było oderwać ją od niego, i chociaż mąż jej przyjął ją jak najgrzeczniej, nie czyniąc najmniejszych wyrzutów, uciekła jednak znowu po niejakim czasie do swego kochanka, zabrawszy ze sobą wszystkie co tylko mogła klejnoty, i nic o niej więcej nie słyszano.

Czytelnik będzie może myślał, że ta historia zdarzyła się w Europie lub Anglii; lecz niech raczy mieć wzgląd na to, że kaprysy kobiet nie ograniczają się na pewien klimat lub naród, przeciwnie, są one powszechniejsze niż sobie wyobrazić można.

Po upłynieniu jednego miesiąca, znaczne zrobiłem postępy w języku krajowym i mogłem odpowiadać na pytania króla, kiedy przypuszczony zostałem do audyencji. Jego królewska mość nie był wcale ciekawy poznać prawa, historia, formę rządu, religią i obyczaje tych krajów, które widziałem: wszystkie jego pytania ściagały się wyłącznie do matematyki, muzyki, i moich odpowiedzi słuchał z największą obojętnością i wzgardą, lubo budziciele ciągle byli w czynności.

## ROZDZIAŁ III.

Fenomen przez nowszą filozofią i astronomią rozwiązany. Wielkie Laputyńców postępy w astronomii. — Jakim sposobem król powstania swoich poddanych usmierza.

Prosiłem króla o pozwolenie obejrzenia osobliwości wyspy i był tak łaskaw, że nie tylko udzielił mi je najchętniej, ale rozkazał nawet mojemu nauczycielowi ażeby mi towarzyszył. Najbardziej byłem ciekawy wiedzieć, jakim sposobem naturalnym lub kunsztownym, wyspa poruszana zostaje we wszystkich kierunkach: daję więc o tem czytelnikowi dokładną wiadomość.

Wyspa latająca jest zupełnie okrągła, jej średnica wynosi 7837 łokci, czyli  $4\frac{1}{2}$  mili, ma zatem 10.000 morgów. Grubość wynosi około 300 łokci. Spód jej patrząc z dołu, jest płaszczyzną z dyamentu szlifowanego, nad którą leżą warstwy minerałów w zwyczajnym porządku, i wszystko to jest z wierzchu okryte szychcą ziemi bardzo żyznej na dwanaście stóp grubości.

Cała ta powierzchnia jest ku środkowi spadzią i wszelka woda z deszczu i rosy, spływa przez male w tym celu zrobione kanały do czterech wielkich dołów po pół mili objętości mających, i 200 łokci od środkowego punktu płaszczyzny odległych. Woda zbie-

rajaca się w nich waporuje przez upały słońca tak, że wystąpić nie może. Oprócz tego król może podnosić wyspę nad sferę obłoków i waporów, i przeskadzać spadaniu wszelkich deszczów i rosy, zwłaszcza że obłoki nie mogą — podług mniemania wszystkich naturalistów — wznieść się wyżej nad pół mili od ziemi; przynajmniej w tym kraju takie zrobiono postrzeżenia.

W punkcie środkowym tej wyspy jest wielki otwór 50 łokci objętości mający, przez który astronomowie wchodzą do wielkiego gmachu *Flandona Gagnole*, czyli jaskinia astronomów zwanego, znajdującego się 100 łokci od powierzchni dyamentu. W tej jaskini pali się bezustannie 20 lamp, których promienie odbijając się od dyamentu, na wszystkie strony światło rozszerzają. Mnóstwo instrumentów astronomicznych, sextantów, quadrantów, teleskopów, astrolabów ozdabia to miejsce; lecz największa osobliwość od której los całej wyspy zależy, jest magnes ogromnej wielkości, kształtu czoleńka tkackiego. Długość jego wynosi 6 łokci, a w najgrubszej części ma przynajmniej 3 łokcie grubości. Powieszony jest zapomocą osi dyamentowej przez środek jego przechodzącej, w tak ścisłej równowadze, że i najslabsza ręka poruszać go może. Otoczony jest wydrążonym walcem dyamen-

towym mającym 4 stóp głębokości i grubości a 12 łokci średnicy, który przez 8 nóg po 6 stóp długich w horyzontalnym trzymanym jest położeniu. W środku wklęsłej jego strony, znajduje się 12 stóp głęboka rynna gdzie leżą końce osi, i takim sposobem dowolnie obracane być mogą.

Żadna siła nie jest w stanie wyjąć ten magnes, bo walec i jego nogi są jedną całością z dyamentem dno wyspy stanowiącym.

Za pomocą więc tego magnesu, wyspa może się podnosić, spuszczać i z miejsca poruszać; bo względem kraju przez króla rządzonego, magnes posiada w jednym swym końcu przyciągającą, a w drugim odpychającą siłę. Jeżeli więc obracają magnes z siłą przyciągającą ku ziemi, wyspa się spuszcza, z odpychającą zaś, podnosi się; jeżeli położenie magnesu jest ukośne, poruszenia wyspy są te same, bo siły tego magnesu działają w równoległym kierunku.

Przez ukośne położenie magnesu wyspa porusza się do różnych części państwa. — Trzeba wiedzieć, że ta wyspa nie może się za obręb królestwa wydalić, ani wyżej się podnosić nad jedną milę.

Astronomowie którzy mnóstwo książek o tym magnecie pisali, objaśniają to takim sposobem. Siła magnesowa rozciąga się tylko na cztery mile, minerał zaś działający na magnes

i leżący w łonie ziemi i w morzu 3 mile od brzegu, nie znajduje się na całej ziemi, ale tylko w tem państwie; inaczej byłoby im zbyt łatwą rzeczą, podbić każdy kraj w obrębie magnesu leżący.

Jeżeli magnes w równoległej z horyzontem znajduje się linii, natenczas wyspa staje, bo jeden koniec ciągnie na dół, drugi odpycha, więc siły znoszą się, i żadne nie może nastąpić poruszenie.

Ten magnes jest pod dozorem wielu astronomów, którzy na rozkaz króla różne mu dawają kierunki. Przepędzają większą część życia na uważaniu ciał niebieskich, a to za pomocą szkieł, lepszych daleko od naszych. Lubo ich teleskopy tylko na 3 stopy są długie, powiększają jednak więcej niżeli nasze sto stóp długości mające i daleko wyraźniej pokazują gwiazdy. Przez tę wyższość byli w stanie zrobić odkrycia daleko ważniejsze i liczniejsze niż w Europie.

Liczą 10000 gwiazd stałych, gdy u nas ledwo trzecią część tej liczby znają. Odkryli dwa trabynty Marsa, z których odległość bliższego od swego planety równa jest wielkości trzech jego średnic, więcej zaś oddalonego równa pięciu średnicom; pierwszy obraca się w przeciągu 20, drugi w przeciągu  $21\frac{1}{2}$  godzin około Marsa, tak, że kwadraty peryo-

dycznych ich obrotów, mają się do siebie jak sześciany ich odległości od Marsa, z czego wnosić trzeba, że podlegają tym samym prawom ciężkości jak inne ciała niebieskie. Oprócz tego dostrzegli 93 komet, których obroty peryodyczne z największą ścisłością opisali. Jeżeli istotnie tak jest, — a utrzymują to z największym zaufaniem — życzyć sobie należy, aby ich postrzeżenia podane zostały do wiadomości publicznej; teorya o kometach oczywiście niedostateczna i niepewna, do różnicy przyszła przez to doskonałości jak inne części astronomii.

Król mógłby być najnieograniczeńszym monarchą na świecie, gdyby jego ministrowie dali się namówić do wspierania go w jego planach; lecz ci mając wiele dóbr na stałym łądzie i wiedząc że łaska monarchów jest za nadto niepewna, nie chcą się przykładać do uciemiężenia swoich współobywateli.

Jeżeli się miasto jakie buntuje, lub nie chce należnych podatków opłacać, król ma dwa sposoby przywrócenia ich do posłuszeństwa. Pierwszy i łagodniejszy jest: że wyspę nad buntowniczym miastem i jego okolicami przez pewien czas trzyma, zasłania słońce i tym sposobem niedopuszcza deszczu, przez co chorobę i drożyznę na miasto sprowadza; jeżeli na surowszą zasługuje karę, natenczas

rzucają na nie wielkie kamienie, przed którymi inaczej ratować się nie mogą, jak tylko chroniąc się do jaskiń i piwnic, a domy ich zostają zniszczone.

Jeżeli trwają w uporze i powstaniem grożą, wtedy innym sposobem ich karze, spuszczać im na głowę całą wyspę, przezczo i miasto i ludzi zniwecza. Lecz król rzadko chwyta się tej strasznej ostateczności i ministrowie nie odważają się doradzać mu tego, bo równie się obawiają nienawiści narodu, jak zniszczenia całego swego majątku, który się na stałym lądzie znajduje; wyspa zaś jest całkiem własnością królewską.

Jest jeszcze ważniejsza przyczyna czemu król tylko w najgorszym razie drugiego sposobu karania używa; jeżeli bowiem miasto które chcą zniszczyć, ma obok wiele skał sterczących, — a te przy części miast istotnie się znajdują, bo mieszkańcy umyślnie podobno dla zapobiegania podobnemu nieszczęściu, takie położenia wybierają — więc spód wyspy lubo z dyamentu i 200 łokci grubości mający, mógłby zostać stłuczony przez tak gwałtowne uderzenie, albo też pęknąć przez zbliżenie się do ogniów w domach, jak to się często naszym kominom zdarza, chociaż są z żelaza lub kamieni zrobione. Lud zna to wszystko i wie jak daleko może po-

sunąć swój upór, kiedy wolność i majątek są zagrożone.

Jeżeli król bardzo jest rozgniewany i zamierza zniszczyć jakie miasto, natenczas spuszcza wyspę pomału i z największą ostrożnością, pod pozorem, jak mówi, nieszkodzenia mieszkańcom, ale w istocie obawia się ażeby nie pękł spód wyspy, przez co, podług mniemania uczonych naturalistów, magnes nie mógłby wyspy utrzymywać i musiałaby spaść na dół.

Głównem prawem państwa, wzbronione jest królowi i jego dwom starszym synom opuszczać wyspę, nie mniej i królowej dopóki jeszcze dzieci rodzić może.

#### ROZDZIAŁ IV.

Autor opuszcza Laputę i udaje się do Balnibarbi. — Przybycie jego do stolicy. Opis tego miasta i jego okolic. Autor przyjęty zostaje gościnnie przez znakomitego pana. — Rozmowa z tymże.

Lubo powiedzieć nie mogę, że się źle na tej wyspie obchodzono ze mną, jednak zdawało mi się zawsze, że mnie traktują z lekceważeniem, nawet z niejaką wzdargą. Król i naród mieli jedynie upodobanie w matematyce i muzyce, a że w porównaniu z nimi słaby byłam w tych dwóch umiejętnościach, nie uważali mnie wcale.

Gdym już wszystkie osobliwości wyspy obejrzał, pragnąłem niezmiernie opuścić ją, zwłaszcza że sobie mieszkańców sprzykrzyłem. Byli prawda celującymi w dwóch umiejętnościach, które bardzo poważam i cokolwiek nawet znam, lecz tak się zagłębiali ciągle w rozmyślaniach, że nigdy nudniejszego i smutniejszego towarzystwa nie widziałem. Rozmawiałem jedynie z kobietami, budzicielami i paziami podczas dwumiesięcznego pobytu tamże, przez co jeszcze większą ściągnąłem na siebie wzgardę; jednak to byli jedyni ludzie od których rozsądną odpowiedź dostać można było.

Przez pilne uczenie się, osiągnąłem pewnej doskonałości w języku krajowym, lecz nudziło mnie zostawać dłużej w miejscu, gdzie nawet żadnego użytku z tej umiejętności mieć nie mogłem: postanowiłem więc opuścić ją przy pierwszej sposobności.

U dworu był znakomity pan, krewny króla, i przez to jedynie szanowany, gdyż oprócz tego uważano go powszechnie jako najglupszego i najnieumiejętniejszego ze wszystkich Laputyanów. Wielkie krajowi wyświadczył przysługi, miał znakomite zdolności naturalne, był bardzo ukształcony, poczciwy i kochający swój honor; lecz nie był wcale muzycznym, i nieprzyjaciele jego mawiali, że często w nieestosownem miejscu takt dawał;

nauczyciele zaś jego, tylko z wielką trudnością potrafili nauczyć go najłatwiejszych zasad matematyki. Był on dla mnie bardzo łaskawy, odwiedzał mnie często i życzył sobie dowiedzieć się o stanie Europy, o prawach, zwyczajach, umiejętnościach zwiedzonych przeze mnie krajów. Słuchał mego opowiadania z największem zastanowieniem i rozsądne bardzo czynił nad tem uwagi. Miał dwóch budzicieli, ale tylko dla zwyczaju, i używał ich tylko u dworu lub oddając ceremonialne wizyty: skoro byliśmy sami, oddalał ich od siebie.

Prosiłem tego pana, o wstawienie się za mną u króla, ażeby mi pozwolił opuścić wyspę. Przychylił się do mojej prośby, ale — jak mi powiedział — bardzo niechętnie. Wiele mi też bardzo korzystnych robił propozycyi, których, oświadczając mu za to moją wdzięczność, nie przyjąłem.

Dnia 11. lutego pożegnałem się z królem, który mi dał prezent wartości 200 funtów szterlingów; mój protektor równie znaczny mi podarował, dołączając do tego list rekomendujący do przyjaciela swego, w *Lagado*, stolicy państwa *Balnibarbi*, mieszkającego. Gdy wyspa znajdowała się nad górą, dwie mile od *Lagado* odległą, spuszczone mnie z najniższej galeryi tym samym sposobem jak mnie wciągniono.



Cały kraj będący pod panowaniem króla *Wyspy Latającej*, nazywa się *Balnibarbi* a stolica jego *Lagado*. Byłem bardzo ucieszony znajdując się znowu na stałym lądzie. Przechadzałem się po mieście, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, bo byłem tak ubrany jak krajowcy a tyle już znałem ich język, że mogłem z nimi rozmawiać. Niezadługo znalazłem dom pana do którego miałem list, oddałem go i najgrzeczniej zostałem przyjęty. Znakomity ten pan, nazwiskiem Munodi, kazał w swoim domu urządzić dla mnie pokój, który przez cały pobyt mój tamże zamieszkiwałem ciągle jak najlepszego obchodzenia się doznając.

Nazajutrz wyjechał ze mną w swoim powozie dla pokazania mi miasta, które jak pół Londynu jest wielkie, lecz domy są bardzo źle zbudowane i wszystkie prawie blizkie upadku. Lud odkryty lachmanami, chodzi po ulicach krokiem niepewnym, z twarzą dziką i oczami wytrzeszczonemi. Wyjechaliśmy przez jedną z głównych bram, na pola w obrębie trzech mil od miasta; widziałem tamże wielu ludzi uprawiających ziemię różnemi narzędziami, lecz nie mogłem się domyślić coby robili, gdyż nie widziałem na polu ani trawy, ani zboża, lubo grunt zdawał się być wybornym. Ośmieliłem się zapytać mojego przewodnika, czem się tyle głów i rąk w mieście

i na polu zajmuje, kiedy nie widać żadnego skutku jakiej pracy, ale przeciwnie, nie widziałem nigdzie ziemi tak źle uprawionej domów tak źle zbudowanych i upadkiem groźących, ani ludu z twarzą i ubiorem nędzniejszym jak tutaj.

Pan Munodi był osobą pierwszej rangi w kraju, a niegdyś gubernatorem *Lagado*, ale przez intrygi ministrów złożony został z urzędu z powodu niezdatności. Król jednak obchodził się z nim laskawie, jako z człowiekiem uczciwym, ale bardzo ograniczonym.

Na moje uwagi ganiące tak mocno kraj i mieszkańców, odpowiedział: że nie dosyć długo bawię w kraju, abym mógł o tem sądzić, a każdy kraj ma swoje zwyczaje. Przytaczał mi inne podobne rzeczy; lecz za powrotem do pałacu spytał się: jak mi się ten gmach podoba? jakie tu niedorzeczności znajduję? coby mi mógł w ubiorze i postępowaniu jego służących ganić? Bez wahania mógł mi te pytania czynić, bo wszystko było u niego przepyszne, regularne i gustowne. Odpowiedziałem mu: że mądrość jego, oświecenie, i bogactwa uchroniły go od błędów, na które głupstwo i nędza innych naprowadziły. Powiedział mi dalej: że gdybym chciał udać się z nim do jego domu wiejskiego, ośm mil odległego od miasta, mógłby więcej mówić ze

mną o tem. Z największą chęcią przyjąłem to zaproszenie i dnia następującego wyjechaliśmy.

W podróży opowiedział mi różne sposoby, których rolnicy używają w uprawianiu swoich gruntów, ale ja tego wcale pojąć nie mogłem, bo wyjawszy kilka miejsc, nie widziałem na polu ani trawy ani zboża. Po trzech jednak godzinach jazdy, wszystko inszą przybrało postać. Domy dzierżawców bardzo liczne, pięknej nader i gustownej były budowy; pola ogrodzone były troskliwie i zawierały winnice, murawy, pola urodzajne i łąki, słowem, nie przypominam sobie, abym kiedy piękniejszą widział okolicę.

Pan Munodi widząc moje ukontentowanie, powiedział do mnie z westchnieniem: że tu zaczynają się jego posiadłości i aż do jego domu taki mieć będziemy widok. „Współzomkowie moi szydzą ze mnie i gardzą mną, że nie umiem należycie moich rzeczy urządzić, że daję drugim zły przykład, za którym jednak nikt nie postępuje, wyjawszy kilku słabych i uporczywych starców.“

Przybyliśmy nareszcie do jego zamku, który istotnie był w najprzyjemniejszym stylu starożytnej architektury zbudowany. Fontanny, ogrody, przechadzki, dróżny i laski z najlepszym gustem były urządzone. Nie mogłem się wstrzymać od udzielenia temu wszystkie-

mu zasłużonej pochwały, lecz on wcale na to nie uważał. Po kolacyi gdyśmy sami zostali, powiedział mi z bardzo smutną miną: że nie wie, czy nie będzie przymuszonym rozwalić wszystkie swoje domy w mieście i na wsi, zniszczyć wszystkie plantacye, dla urządzenia ich podług najnowszej mody: że nawet będzie musiał dać swoim dzierżawcom podobne rozkazy. Jeżeli tego nie uczyni, będą go wszyscy uważać za człowieka dumnego, dziwnego, nieumiejętnego, fanatycznego i może przez to nielaskę króla na siebie ściągnąć. Zadziwienie moje zmniejszy się, mówił dalej, skoro mi opowie rzeczy, o których u dworu dowiedzieć się nie mogłem; bo ludzie tam na górze mieszkający, są tak zatopieni w swoich spekulacyach, że nie myślą wcale co się tu na dole dzieje.

Treść jego opowiadania jest następująca: Przed pięćdziesięcią laty kilka osób udało się stąd do *Laputy*, częścią dla załatwienia potrzebnych interesów, częścią też dla zabawy. Po pięciomiesięcznym pobycie na wyspie, powrócili do domu z powierzchowną znajomością matematyki, lecz przy tem z wielką lekkomyślnością. Ci zaczęli ganić wszystko co tylko w kraju widzieli i postanowili wszystkie kunszta i umiejętności na nową wcale modłę urządzić. Otrzymali w tym celu patent królewski

na założenie wielkiej akademii projekcistów, i ta nowość tak się w krótkim czasie rozszerzyła, że nie ma miasta w królestwie, któreby nie miało takiej akademii.

W tych kolegiach wynajdują profesorowie nowe metody dla rolnictwa i architektury, nowe instrumenta dla rzemiosł i rękodzieł, za pomocą których jeden człowiek potrafi tyle zrobić ile dziś dziesięciu; pałac ma być wystawiony w jednym tygodniu z materiałów tak mocnych, że bez najmniejszej reparaacji wieki przetrwać może. Wszystkie owoce mają wyrastać i dojrzewać o każdej porze roku i sto razy być większe od teraźniejszych, i inne podobne zbawienne projekta. Lecz jedyne nieszczęście w tem wszystkim jest, że nic a nic skutecznionem dotychczas nie zostało, a tymczasem pola są puste, domy zrujnowane a lud bez odzieży i chleba. To ich jednak nie odstrasza, owszem jeszcze z większą gorliwością ubiegają się za swymi planami, do czego ich naprzemiany, to nadzieja to rozpacz podżega.

Co do mnie, przydał, nie będąc od natury obdarzonym duchem wynalasczym, kontentuję się iść dawnym torem, mieszkam w domach przez swoich przodków wystawionych, postępuję jak oni postępowali i nie wdaję się w żadne nowości. Mała tylko liczba znacznych obywateli toż samo czyni; lecz wszyscy są

wzgardzeni i lekceważeni jako nieprzyjaciele kunsztów i umiejętności, ograniczeni i źli obywatele, przenoszący własną wygodę nad dobro publiczne.

Oświadczył mi też, iż nie chce mnie bynajmniej pozbawiać ukontentowania, które niezawodnie mieć będę ze zwiedzenia tej sławnej akademii i nawet chce mi być w tem pomocnym; lecz życzył sobie abym pierwaj obejrzał zapadłą budowę pół mili od jego domu na pochyłości góry leżącą, o której następującą mi opowiedział historiją.

Miał bardzo dobry młyn wodny, poruszany pędem wielkiej rzeki: był on dostatecznym dla niego, jego familii i wielkiej części dziełców. Przed siedmioma laty przyszło do niego towarzystwo projekcistów, proponując mu rozwalenie młyna i postawienie go na nowo na pochyłości góry, na szczycie której ma być założony wodozbiór, z którego woda przez rury i maszyny na młyn płynąć będzie. Wiatr i powietrze działając na wodę, mają przyspieszać jej płynienie, a spadając z takiej wysokości, daleko mniejsza ilość wody silniejszą będzie do obracania młyna, niżeli cała rzeka poziomo płynąca. A że wtenczas, dodał, nie był w wielkich łaskach u dworu i przyjaciele mocno go namawiali, dał się więc do tego nakłonić. Dwieście ludzi pracowało przez dwa

lata i dzieło nie udało się wcale; projekciści oddalili się wcześniej, zwalając całą winę na niego. Oprócz niego przywieśli jeszcze wielu innych do podobnych przedsięwzięć z równymi kosztami i trudami i z równą bezskutecznością.

Po kilku dniach powróciliśmy do miasta, a że pan Munodi nie był dobrze widziany w akademii, zarekomendował mnie jednemu ze swoich przyjaciół ażeby mnie tam zaprowadził. Był tak łaskaw że mnie przedstawił jako wielkiego miłośnika projektów i jako człowieka bardzo ciekawego i łatwowiernego. W rzeczy samej nie było to wcale bezzasadnie, bo w młodości mojej byłem także małym projekciścą.

## ROZDZIAŁ V.

Antor dostaje pozwolenie oglądania wielkiej akademii w Lagado. — Dokładny opis tejże akademii. — Nauki, któremi się profesorowie zajmują.

Akademia ta nie jest jedną obszerną budową, ale raczej zbiorem wielu domów na obu stronach ulicy znajdujących się, które, że niezamieszkałe były i zapadłe, w tym celu zakupione zostały. Dozorca jej bardzo dobrze mnie przyjął i przez kilka dni nieprzerwanie ją zwiedzałem.

W każdym pokoju jest jeden lub kilku projekcistów i jeżeli się nie mylę, to byłem przynajmniej w pięciuset pokojach.

Pierwszy akademik, którego obaczyłem, był człowiek chudy i mizerny, z wielką brodą i długimi włosami, ręce i twarz miał nadzwyczaj brudne, suknie zaś, koszula i ciało jego były jednego koloru. Już ośm lat pracował nad projektem wyciągnięcia z ogórków promieni słonecznych, które w hermetycznie zatkniętych fiolkach schowane, miały służyć do ogrzewania powietrza w dniach chłodnych i niepokojnych. Powiedział mi, że w przeciągu następujących ośmiu lat będzie niezawodnie w stanie dostarczyć dla ogrodów gubernatora promieni słonecznych za bardzo mierną cenę: uskarżał się na brak funduszy i prosił mnie, abym dla zachęcenia go, dał mu małe wsparcie, bo w tym roku ogórki były bardzo drogie. Dałem mu mały podarunek, gospodarz mój bowiem opatrzył mnie w tym celu pięniądzi, wiedząc że ci uczeni mają zwyczaj wypraszać sobie cokolwiek u zwiedzających akademią.

Poszedłem do innego pokoju, lecz wszedłszy ledwo, chciałem czempredzej uciekać, mało nie zaduszony straszonym, który tam był, smrodem. Mój przewodnik zatrzymał mnie jednak, zaklinając ażebym został, gdyż inaczej wszystkich bym na siebie rozgniewał. Projekciści w tym pokoju mieszkający, był najstarszym w całej akademii: twarz i brodę miał blado żółte, rę-

ce i ubiór okryte plugastwem. Skoro przedstawiony mu zostałem, objął mnie swemi ramionami i uściskał serdecznie, cobym mu chętnie darował. Zatrudnieniem jego było od czasu wejścia swego do akademii, zamieniać ekskrementa ludzkie w pierwiastkowe żywności, przez rozłączenie ich cząstek składowych, oczyszczenie z żółci, śliny i odoru: w tym celu towarzystwo akademickie dostarczało mu tego materiału, co tydzień pełne naczynie wielkości beczki brystolskiej.

Poszedłem do drugiego: ten chciał lód w proch przerabiać i pokazał mi rozprawę o ciągłości ognia.

Widziałem też pewnego genialnego architekta, który wynalazł nową metodę budowania domów, zaczynając od dachu a kończąc fundamentem. Jako przykład praktyczności swej metody, przywodził sposób budowania najroztropniejszych owadów, jako to: pszczoł i pajaków.

Był także jeden ślepy, mający wiele uczniów równie jak on wzroku pozbawionych; wszyscy zatrudniali się mieszaniami farb dla malarzy: nauczał ich bowiem rozróżniać je za pomocą węchu i dotykania. Niestety znalazłem ich nie bardzo jeszcze w tem biegłych, a nawet profesor często się mylił.

W dalszym pokoju znajdował się wielki człowiek, który wynalazł nowy sposób uprawiania ziemi za pomocą świń, dla oszczędzania kosztów orania, bydła i pługu. Metoda jego jest następująca: w głębokości ośmiu cali a w odległości co sześć cali, zagrzebują w ziemi żołądź, daktyle, orzechy i inne owoce, które świnię lubią; potem wypędzają na to pole 600 lub więcej tych zwierząt, które ryjem i nogami ziemię tak rozkopują, że potem zdatną jest do siewu, a przy tem gnoją ziemię wracając, co z niej wydobyły. Zrobiono raz próbę, ale koszta i praca były zanadto wielkie, skutek zaś wcale niepomyślny: utrzymują jednak, że ten wynalazek da się wydoskonalić.

Poszedłem stąd do innego pokoju, gdzie ściany i pułap całkiem okryte były pajęczyną tak, że tylko małą drożynę zostawiono dla mieszkańca jego. Skoro mnie zobaczył wchodzącego, zawołał ażebym był ostrożnym i nie popsuł pajęczyn. Żałował mocno, że ludzie przez długi czas w tak wielkim błędzie zostawali, używając jedwabników; gdy pająki daleko lepiej nie tylko prząsą ale i tkac umieją. Utrzymał przytem, że używając pajęczyny, można koszta farbowania oszczędzić, i pokazał mi mnóstwo much różnego koloru, któremi karmił pająki, przezco — jak mówił —

pajęczyna pewną przybiera barwę; a ponieważ ma dostateczną ilość much we wszystkich kolorach, będzie więc w stanie wszelkim żądanom zadosyć uczynić, skoro tylko wynajdzie stosowny pokarm dla nich, z gumy, oleju i różnych klejowatości, ażeby pajęczyna mocniejszą i trwalszą była.

Pewien astronom bardzo sławny przedsięwziął umieścić na wielkiej wieży zegar słoneczny, który nie tylko ma pokazywać dzienne i roczne obroty ziemi około słońca, ale nawet wszystkie przypadkowe odmiany wiatrów.

Od niejakiego czasu cierpiałem na kolki: zaprowadził mnie więc mój przewodnik do pewnego lekarza, który się bardzo wslawił wynalazkiem mechanizmu, za pomocą którego tę chorobę leczył. Miał wielki mieszek kończący się długą i wąską rurką ze słoniowej kości; tę wsadzał w otwór kanału odchodowego ośmiu cali głęboko, wciągając w mieszek powietrze: utrzymywał, że tym sposobem wnętrzości wypróżnione zostają jak suchy pęcherz. Jeżeli zaś choroba była mocniejsza i uporeczywsza, natenczas napełniał pierwaj miech powietrzem i wsadziwszy rurkę do otworu, wpuszczał je do wnętrzości chorego, potem wyciągał ją dla napełnienia znowu powietrzem, zapchawszy jednak pierwaj otwór u chorego palcem.

Przez powtarzanie kilka razy tej operacyi wiatr wpuszczony musiał gwałtownie wybuchnąć i porwać ze sobą powietrze szkodliwe wewnątrz się znajdujące: tym sposobem chory zostawał zupełnie uleczony. Widziałem jak obydwaj te sposoby leczenia spróbował na psie: przy pierwszym żadnego nie spostrzegłem skutku; przy drugim zaś pies mało nie pękł i tak nareszcie zrobił wybuch, iż prawdziwie mnie i mojemu przewodnikowi źle się zrobiło. Pies zdechł na miejscu, a my zostawiliśmy lekarza zmartwionego i zatrudnionego ożywieniem jego za pomocą tej samej operacyi.

Zwiedziłem jeszcze wiele innych pokoi, ale nie chcę nudzić czytelnika opisywaniem wszystkich ciekawych rzeczy, które tam widziałem; bo pragnę być o ile można zwięzłym i krótkim w opowiadaniu.

Dotąd widziałem tylko jedną stronę akademii poświęconą wynalazkom mechanicznym; druga strona przeznaczona jest dla zajmujących się wiadomościami spekulacyjnymi; lecz nim do opisania jej przystąpię, chcę pierwaj w krótkości wspomnieć pewnego bardzo sławnego akademika, znanego pod nazwiskiem sztukmistrza uniwersalnego. — Powiedział nam, że już 30 lat rozmyśla nad polepszeniem życia człowieka. Miał dwa wielkie pokoje napełnione osobliwościami, a pięćdziesięciu ro-

botników pracowało pod jego dozorem. Jedni zatrudniali się zgęszczaniem powietrza, wydzielając kwasoród i parując części płynne, dla zrobienia z niego substancji dotykanej; drudzy zmiekczałi marmur na poduszki; inni skamieniali kopyta żywych koni, dla uchronienia ich od zepsucia. On sam zajmował się dwoma wielkimi projektami: jeden z nich był, ażeby zasiewać role plewami, które podług niego prawdziwą siłę rosnącą zawierają; dowodził tego różnemi przez siebie zrobionemi doświadczeniami, których ja przez nieświadomość moją zrozumieć nie mogłem: drugi projekt był, ażeby za pomocą pewnej kompozycji z gumi, minerałów i roślin przeszkadzać rośnieniu wężny na dwóch młodych jagniętach. Utrzymywał, że w krótkim czasie będzie w stanie rozszerzyć po całym kraju rasę nagich owiec.

Potem udaliśmy się na drugą stronę akademii, przez projekcistów w wiadomościach spekulacyjnych zajmowaną.

Pierwszy profesor, którego ujrzałem, znajdował się w wielkim pokoju, otoczony 40 uczniami. Po wzajemnem przywitaniu się, gdy spostrzegł, że bardzo uważnie oglądam wielką maszynę zabierającą większą część pokoju, powiedział mi: że może z zadziwieniem dowiem się o zajmującym go projekcie wydoskonalenia wiadomości spekulacyjnych za pomo-

cą operacyi mechanicznych. Pochlebia sobie, że świat uzna ważność jego wynalazku, i że wznioślejsza myśl nigdy w głowie człowieka nie powstała. Wiadomo, jak trudno przychodzi każdemu człowiekowi nauczyć się kunsztów i umiejętności; lecz przez ten jego wynalazek, człowiek najbardziej nawet nieumiejętny potrafi za mierne koszta i po lekkim ćwiczeniu ciała, pisać książki filozoficzne, poetyczne, rozprawy o polityce, teologii i matematyce, bez najmniejszej pomocy naturalnych zdolności lub nauk. Zaprowadził mnie do warsztatu, przy którym uczniowie stali w szeregach ustawieni.

Była to wielka rama mająca dwadzieścia stopni kwadratowych: powierzchnia jej składała się z małych kawałków drzewa wielkości kostki, niektóre jednak z nich były większe od drugich, a wszystkie były cienkimi drutami ze sobą połączone. Na każdej powierzchni szescianków przylepione były kawałki papieru, na których wszystkie wyrazy języka krajowego w różnych odmianach, konjugacyach, deklinacyach, ale bez żadnego porządku były napisane. Profesor prosił mnie ażebym uważał, bo chce maszynę poruszać. Na jego rozkaz każdy uczeń ujął jedną z czterdziestu antab w ramie będących i obróciwszy je, odmienili wcale rozkład wyrazów. Rozkazał po-

tem szesnastu chłopcom ażeby wiersze powoli czytali i jeżeli znaleźli ciąg kilku wyrazów, okres stanowić mogących, natenczas dyktowali je czterem innym chłopcom, którzy to pisali. Ta operacya powtórzona została kilka razy i za każdym obróceniem sześcianki na około się obracały i wyrazy coraz insze zajmowały miejsca.

Sześć godzin dziennie pracowali uczniowie przy tej nauce; profesor pokazał mi wiele foliów, mnóstwo zebranych w ten sposób okresów obejmujących, jak zapewniał, skarb wszystkich kunsztów i umiejętności, które ułożyć i wydać zamysła. Lecz zamiar ten wtedy dopiero może należycie przyjść do skutku a dzieło do wielkiego stopnia doskonałości, jeżeli publiczność zechce dostarczyć potrzebnych funduszków na założenie 500 takich maszyn, i jeżeli dyrektorowie ich obowiązani zostaną przykładać się wspólnie do wydania tak wielkiego i powszechnie użytecznego dzieła.

Podziękowałem sławnemu temu profesorowi za łaskawe pokazanie i objaśnienie mi tego wszystkiego i zapewniłem go, że jeżelibym wrócił kiedy do mojej ojczyzny, to jego uznaję jako pierwszego i jedynego wynalazcę tej cudownej maszyny, której abrys dla lepszej pamięci na papier przenieśliśmy. Powiedziałem mu

także, że chociaż to zwyczajem jest u uczonych w Europie, przywłaszczać sobie wzajemnie cudze wynalazki przez co nie wiadomo czasem, kto istotnie jest pierwszym wynalazcą; będę jednak tak ostrożnym, że bez żadnego rywalstwa, jemu honor pierwszeństwa wynalazku przyznany zostanie.

Stąd udaliśmy się do szkoły języków, gdzie trzech profesorowie naradzali się ze sobą nad najlepszym sposobem wydoskonalenia języka krajowego. Jeden podał projekt, ażeby wszystkie wyrazy wielozgłoskowe zamienić w jednozgłoskowe i dla skrócenia mowy skasować zupełnie słowa i imiesłowy, bo wszystkie imaginacyjne rzeczy są w istocie rzeczownikami.

Drugi projekt był: zniesienie wszystkich wyrazów języka, przez co wielkie polepszenie zdrowia i oszczędzenie czasu nastąpić musi. Jest bowiem rzeczą naturalną, że wymówienie każdego słowa, przez tarcie, zmniejsza nasze płuca i tem samem pociąga za sobą skrócenie życia. Sposób więc najlepszy przeciw temu jest, ażeby przez wzgląd, że wyrazy są tylko nazwaniem rzeczy, nosić ze sobą wszystkie przedmioty, o których z drugim mówić chcemy.

Ten wynalazek zostałby niezawodnie przyjęty i upowszechniony, gdyby kobiety i popółstwo nie sprzeciwiali się temu, a nawet i powstaniem nie grozili, jeżeliby chciano po-



zbawić ich wolności mówienia, wszak pospółstwo jest zawsze największym nieprzyjacielem oświaty. Najmędrsi i najuczciwsi jednak przyjęli nową metodę wyrażania się za pomocą rzeczy; lecz największa trudność w tem jest, że ci, którzy liczne i różne mają interesa, muszą nosić na plecach ogromne ciężary, jeżeli nie są w stanie trzymać sobie do tego służących.

Nieraz widziałem takich mędrców uginających się, jak nasi kramarze wędrujący, pod swoim ciężarem. Jeżeli się spotkali na ulicy, składali paki na ziemię, otwierali worki i całogodzinne prowadzili ze sobą rozmowy, potem pakowali znowu swoje rzeczy, a wzięwszy ciężar na siebie, żegnali się.

Dla zwyczajnych i krótkich rozmów można potrzebne rzeczy nosić ze sobą w kieszeni, w domu zaś nikomu na tem nie zbywa, i po-koje gdzie wielu zgromadzało się z mówiących tym językiem, opatrzone były wszystkimi rzeczami potrzebnymi do tych rozmów kunsztownych. Daleko większa jeszcze korzyść wynika z tego wynalazku, że przez niego język powszechny zaprowadzony zostaje, bo wszystkie rzeczy i instrumenta są u wszystkich narodów cywilizowanych prawie jedne i też same; praca więc jako też wielkie ko-

szta dla nauczania się języków obcych, byłyby przez to zaoszczędzone.

Byłem też w szkole matematycznej, gdzie profesorowie uczyli podług metody w Europie wcale nieznaney. — Twierdzenia i dowody napisane zostały tynkturą głowę wzmacniającą na oplatkach, które uczniowie połykali i potem przez trzy dni chlebem i wodą żyć musieli. Podczas trawienia oplatka, tynktura wstępuje do głowy i rozwiązuje całe zadanie matematyczne. Lecz dotychczas ta metoda pozostała bez pomyslnego skutku; pochodzi to częścią, że się w ilości tynktury omylił musiano, częścią z nieposłuszeństwa i krnąbrności uczniów, w których ta medecyna taką wzbudza odrazę, że ją na stronę odrzucają, lub wypluwają, nim jeszcze działać zaczęła; nie można też ich namówić, aby tak długo pościli, jak do tego koniecznie potrzeba.

## ROZDZIAŁ VI.

Dalszy opis akademii. — Autor przedkłada niektóre polepszenia, które zaszczytnie przyjęte zostają.

Ze szkoły politycznej, którą potem zwiedziłem, nie byłem wcale zadowolony. Wszyscy profesorowie zdawali mi się cierpieć na pomięszanie zmysłów, co mnie wielkim smutkiem napełniło. Nieszczęśliwi ci ludzie robili pro-

jekta, ażeby namówić monarchów, iżby swoich faworytów z pomiędzy najmędrszych i najcnotliwszych obywateli wybierali; nauczyć ministrów, aby jedynie dobro publiczne mieli na celu, a zasługi, zdatności i cnotę nagradzali; ażeby przekonać panujących, że ich i narodu interes jest jeden i ten sam; że urzędy publiczne tylko osobom uzdolnionym powierzyć należy.

Niektórzy z nich jeszcze większe chimery proponowali, co mnie przeświadczyło o prawdziwości znajomej powszechnie uwagi, że nie ma nic niedorzecznego, coby przez filozofa jako prawda zaleconem i dowodzonem nie zostało.

Muszę jednak wyznać, że członkowie tej części akademii nie byli takimi marzycielami i roztargnionymi jak drudzy. Poznałem tam pewnego sławnego lekarza, który naturę i system sztuki rządzenia doskonale zgłębiał i zatrudniał się wynalezieniem sposobów leczenia licznych chorób, którym wszystkie gałęzie administracji podlegać zwykły, tak przez niezdatność i słabość rządzących, jak nieposłuszeństwo i nieużytość rządzonych. Wszyscy filozofowie zgadzają się, że wielkie jest podobieństwo między ciałem naturalnem i politycznym, można przeto obie choroby jednakowym leczyć sposobem. Wiadomo że zgromadzenia narodo-

we cierpią często na zbytek, zepsucie lub buzenie się soków, na choroby głowy i serca, skąd powstają konwulsye i kontrakcyje muszkułów, osobliwie prawej ręki; na hypochondryę, wiatry, zawroty głowy i pomieszanie zmysłów; na skrofuliczne wrzody, odbijania kwasowe, głód nadzwyczajny, niestrawność i inne dolegliwości których tu wyliczać nie potrzeba.

Lekarz więc ten proponował, ażeby za zgromadzeniem się Senatu lub Izby jakiej, doktorowie w tym celu przywołani byli obecni przy trzech pierwszych posiedzeniach i po ukończeniu ich rozpoznawali przed każdym senatora lub prawodawcy. Potem powinni lekarze naradzać się ze sobą nad naturą choroby każdego i przyjść na czwarte posiedzenie w towarzystwie aptekarzy mających ze sobą potrzebne medykamenta. Ci mają przed otwarciem posiedzenia rozdzielić między członków Izby lekarstwa ściągające, uśmierzające, rozwalniające, główne, uszne, serdeczne i t. d. stosownie do choroby każdego i przy każdym posiedzeniu trzeba lekarstwa podług ich skutków powtórzyć, odmienić, lub zupełnie zaniechać.

Ten projekt, zdaje mi się, nie pociągnie za sobą wiele kosztów i będzie bardzo użytecznym dla prędszego załatwienia interesów w krajach, gdzie zgromadzenia narodowe mają udział w prawodawstwie. Za jego pomocą

nastąpi większa jednomyślność, a zatem skrócenie długich rozpraw i sprzeczek; niejeden utworzy usta dotychczas zamknięte, drugi zamknie zanadto zawsze otwarte. Zmniejszy się popędliwość młodych a uporczywość starszych zmiękczoną zostanie; głupi obudzi się, a zalany niezawodnie się uspokoi.

Ponieważ wszyscy uskarżają się, że faworycy monarchów mają krótką zanadto pamięć, chciał więc ten doktor, ażeby kaźden udający się do ministra z prośbą, przedstawivszy ją w krótkości dał mu szcztuka, przydeptał mu nagniotka, lub pociągnął go za uszy, wsadził mu igłę w spodnie, lub uszczypnął mocno w ramię, ażeby nie zapomniął o sprawie, którą mu przedstawiono: przy kaźdej audyencji trzeba tę operacyą powtórzyć, aż prośba uwzględnioną lub stanowczo odrzuconą zostanie.

Chciał też, ażeby kaźden członek zgromadzenia narodowego, wyrzekłszy swoje zdanie i przelożywszy dokładnie powody, obowiązany był dać swój głos za wcale przeciwną propozycyą; skutek takowego postępowania będzie niezawodnie najpomysłniejszy dla dobra publicznego.

Jeżeli partye polityczne w jakim kraju są zanadto zacięte, wtedy następującego sposobu używać należy dla uspokojenia i pogodzenia ich. Metoda jest, jak doktor mi powiedział,

następująca: Trzeba wziąć sto naczelników różnych partyi, ustawić ich koło siebie podług podobieństwa ich czaszek i polecieć biegłemu operatorowi, ażeby w jednym czasie przerznął im czaszki tak, aby mózg na dwie równe części został podzielony; poczem zamieniają się połowy mózgow tak, ażeby Tory dostał połowę mózgu Whiga i na odwrót. Operacya jest wprawdzie bardzo subtelna, ale profesor zapewniał, że skoro z należytą zręcznością skuteczną będzie, wyzdrowienie niezawodnie nastąpi. Ponieważ, dowodził, obydwie połowy mózgu załatwiają w jednej czaszce całą rzecz między sobą, muszą się wkrótce zgodzić, stąd wyniknie powściągliwość i regularność w myśleniu, tak potrzebne głowom tych ludzi, którzy mniemają że na to na świat przyszli, aby czuwali i rząd mieli nad nim. Co się tyczy różnicy w ilości i własności mózgow, doktor zapewniał, że to nie nie znaczy.

Słyszałem jak dwaj akademicy sprzeczali się mocno nad najlepszym sposobem pobierania podatków, bez uciemiężenia ludu. Jeden utrzymywał, że najlepszy sposób jest nałożyć podatki na występki i głupstwa ludzi, a suma którą kaźden ma płacić, powinna być oznaczoną przez sąd składający się z jego sąsiadów. Drugi był wcale przeciwnego zdania utrzymując, że trzeba te przymioty duszy

i ciała podatkiem nałożyć, na które ludzie są najbardziej zarozumiali, i każdego ma być w tym względzie własnym sędzią. Największą takę powinni płacić faworyci płci pięknej, a to w proporcji liczby i natury łask, których doświadczali; przyczem deklaracja każdego jest dostateczną. Na dowcip, waleczność i grzeczność także podatek nałożyć trzeba, podług wyznania każdego ile z nich posiada, honor zaś, sprawiedliwość, mądrość i naukowość powinny być uwolnione od wszelkich podatków, bo nikt ich drugiemu nie przyzna, ani ich posiadaniem chlubić się będzie.

Na kobiety trzeba nałożyć podatki w proporcji ich piękności i gustu w toalecie, a to także podług własnego ich oszacowania; stałość zaś, niewinność, rozum i dobroć wolne być powinny od wszelkiej opłaty, bo cały dochód z tego nie wróciłby i kosztów poboru.

Ażeby zaś reprezentanci zawsze bronili interesu korony, podano projekt, ażeby o urzędy publiczne grali w kostki. Przed zaczęciem gry, powinien każdego przysięgać, że w każdym razie, czy wygra, czy też przegra, będzie głosował podług woli dworu; lecz każdego przegrywający ma prawo znowu grać o pierwsze wakujące miejsca. Tym sposobem, wszyscy będą zawsze mieć nadzieję, i nie będą się mogli uskarżać na niedotrzymanie danych przy-

rzeczeń, ale całą winę zwałą na fortunę, której ramię zawsze silniejsze niżeli ramię ministra.

Drugi akademik pokazał mi rozprawę nad najlepszą metodą odkrywania spisków i sprysiężeń przeciwko rządowi. Radził dowiadywać się, jakim pokarmem żywią się osoby podejrzane, o którym czasie jedzą i spoczywają, na której stronie leżą w łóżku, i którą ręką ocierać się zwykli; rozpoznawać ich odchody i podług ich smaku, koloru, konsystencji i odoru sądzić jakie mają buntownicze myśli i plany; gdyż nigdzie człowiek nie jest tak zamyślony i sobą samym zatrudniony jak na stolcu. Przydał, że doświadczyl tego sam na sobie, i rozmyślając na próbę, dla przekonania się o skutku nad najlepszym sposobem zamordowania króla, znalazł, że odchody jego były zielonawe i zupełnie innego koloru, jak gdy rozmyślał tylko nad buntowaniem ludu i spalaniem stolicy.

Cała rozprawa napisana była z wielką przenikliwością i zawierała wiele użytecznych uwag dla polityków, lecz zdawało mi się, że nie jest jeszcze kompletną. Ofiarowałem więc autorowi niejaki do niej przyczynki, które przyjął z większą chęcią, niżeli to inni pisarze, szczególnie teoretycy czynić zwykli, i oświadczył mi iż z wdzięcznością przyjmuję moje nauki.

Opowiedziałem mu, że w królestwie Tribnia przez krajowców *Laugdem* zwanem, gdzie przez niejaki czas w podróży mojej bawiłem, lud składa się po większej części z denuncyantów, świadków, szpiegów, oskarzycieli i przysięgających, jako też z innych płatnych służalców rządu i urzędników. Spiski w tem królestwie są zwyczajnie dziełem ludzi chcących zjednać sobie sławę wielkich polityków, wzmacniać słaby rząd, powszechne nieukontentowanie przytłumić, zbogacić się skonfiskowaniem dobrami, podwyższać lub zniżyć kredyt publiczny, stosownie do własnych ich korzyści. Ci układają pierwaj między sobą, które osoby mają być oskarżone, potem rozkazują zabierać im papiery i listy i wtrącają ich do więzienia. Papiery oddane zostają towarzystwu szukmistrzów, umiejących odkrywać tajemne znaczenia wyrazów, sylab i liter.

Tak naprzykład odgadywają, że stolec znaczy *tajną radę*; stado gęsi, *senat*; kulawy pies, *napad nieprzyjacielski*; zaraza, *wojsko stojące*; chrabąszcz, *pierwszego ministra*; podagra, *wielkiego kapłana*; szubienica, *sekretarza stanu*; urynał, *komitet lordów*; sito, *damę dworską*; miotła, *rewolucyą*; łapka na myszy, *urząd publiczny*; studnia bez dna, *skarób publiczny*; kanał odchodowy, *dwór*; czapka błażeńska, *faworyta*; złamana trzcina, *sąd*; pró-

żna becзка, *generala*; otwarta rana, *administracyę kraju*.

Jeżeli ta metoda jest niedostateczną, wtedy używają sposobów daleko jeszcze dzielniejszych, które uczeni akrostychami i anagramami nazywają. Za pomocą takiej metody odgadują w każdej początkowej literze sens polityczny. Naprzykład *S*, znaczy spisek polityczny; *K*, pułk kawalerji; *F*, flotę; albo przedstawiają wyrazy i odkrywają najtajemniejsze plany niespokojnej partyi; jeżeli naprzykład piszesz do przyjaciela: „twój brat Tomasz ma hemoroidy,“ biegły odcyfrujący, umie w tem wynaleść zdanie znaczące: „spisek niezadługo wybuchnie.“

Podziękował mi ten szanowny akademik za udzielone mu uwagi i przyrzekł umieścić je w rozprawie, którą o tym przedmiocie napisać zamysła.

Nie widząc nic więcej w tym kraju coby mnie dłużej tam zatrzymywać mogło, zacząłem myśleć o powrocie do Anglii.

## ROZDZIAŁ VII.

Autor opuszcza Lagado i przybywa do Maldonady. — Odprawia małą podróż do Glubdubdribu. — Przyjęcie jakiego doznaje u gubernatora.

Stały ład, którego to królestwo jedną część stanowi, rozciąga się, jakem mógł dostrzedz,

ku wschodowi aż do nieznojonej na zachód Kalifornii leżącej części Ameryki; ku północy zaś aż do Morza Spokojnego, które tylko 30 mil od Lagado jest odległe. Tam znajduje się sławny port, gdzie znaczny prowadzą handel z wyspą *Luggnag* leżącą na północno-zachodniej stronie, pod 29 stopniem północnej szerokości a 140 długości. Od *Japonii* jest blisko 100 mil odległą i leży od niej na południowo-wschodniej stronie. Cesarz japoński jest w ścisłym przemyerzu z królem *Lugnagu*, przez co z jednej wyspy do drugiej łatwo podróżować można. Postanowiłem przeto udać się tą drogą do Europy. Nająłem sobie dwa muły i przewodnika do noszenia mych rzeczy i wskazywania drogi. Pożegnałem się z moim szlachetnym protektorem, który mi tyle wyświadczył dobrodziejstw i jeszcze przed odjazdem kosztowny dał podarunek.

W podróży nie zdarzyło mi się nie ważnego coby godne było wzmianki. Przybywszy do *Maldonado* (tak się nazywa to miasto portowe), nie zastałem żadnego okrętu mającego się udać do wyspy *Luggnagu* i nie było nadziei ażeby się jaki wkrótce nadarzył. Miasto *Maldonado* jest prawie tak wielkie jak *Portsmouth*. W krótkim czasie zapoznałem się z niektórymi mieszkańcami i byłem od nich bardzo gościnnie przyjęty. Znakomity pewien pan po-

wiedział mi, że ponieważ dopiero za miesiąc udadzą się okręty do *Luggnagu*, życzyłby mi abym dla zabawy odprawił małą podróż do wyspy *Glubbudrib*, pięć mil tylko odległej i leżącej na południowo-zachodniej stronie. On i kilku jego przyjaciół chcieli mi towarzyszyć i wystarać się o mały statek do przewozu.

*Glubbudrib* znaczy w tym języku, jeżeli się nie mylę, „wyspa czarowników.“ Jest ona trzy razy większą od wyspy Whight, i odznacza się wielką żyznością. Zostaje pod władzą naczelnika pokolenia składającego się wyłącznie z czarowników. Członkowie tego pokolenia wchodzić tylko ze sobą w związki małżeńskie, i najstarszy syn zostaje księciem czyli gubernatorem.

Ten książę ma przepyszny pałac i bardzo obszerny park 300 morgów zajmujący, który otoczony jest murem z ciosowego kamienia na dwadzieścia stóp wysokim. Zawiera także wiele ogrodzeń na pastwiska, pola zbożowe i ogrody.

Gubernator i jego familia używają do swej posługi bardzo osobliwych służących. Przez wielką biegłość, którą gubernator posiada w czarodziejstwie, jest w stanie wywołać umarłych i zobowiązać ich do służenia mu przez dwadzieścia i cztery godzin, ale nie więcej; nie może też powtórzyć przyzwania jednego i tego samego z umarłych, aż po upływie trzech

miesiący, chyba że mu się coś nadzwyczajnego wydarzy.

Skorośmy na wyspie wylądowali, udał się jeden z moich towarzyszków do gubernatora, i prosił go o audyencję dla cudzoziemca, który jedynie w tym celu tu przybył. Prośba natychmiast spełnioną została, i wszyscy trzej wesliśmy do bramy pałacu przez szeręg gwardyi po staroświecku ubranej, której widok nieopisanym przejął mnie strachem. Przeszliśmy przez wiele pokoiów, w których służący tego samego rodzaju ustawieni byli, aż nareszcie przybyliśmy do pokoju, gdzie się gubernator znajdował i gdzie po wielu ukłonach i niektórych zapytaniach, pozwolono nam usiąść na trzech krzesłach koło tronu Jego Książęcej Mości.

Ten książę rozumiał język balnibarbski, lubo ten bardzo się różni od języka tej wyspy. Prosił mnie abym mu opisał moje podróże, a dla okazania mi poufałości z jaką chce obchodzić się ze mną, odprawił wszystkich swych ludzi jednym znakiem palca, którzy też jak mary, w jednym momencie zniknęli. Przez niejaki czas byłem w wielkiej trwodze, lecz gdy mnie gubernator zapewnił, że najmniejszej do obawy nie mam przyczyny, i sam widziałem, że towarzysze moi, którzy już nieraz takim sposobem zostawali przyjęci, zupeł-

nie byli spokojni, uspokoiłem się i opowiadałem mu przypadki moich podróży, z niejaką jednak twożliwością i częstym oglądaniem się po za siebie gdzie te straszne widma zniknęły.

Miałem honor obiadować z gubernatorem, przyczem znowu inne duchy przynosiły potrawy i przy stole usługiwały. Tą razą nie trwożyłem się tak mocno jak przedtem. Zostałem aż do wieczora i prosiłem jego książęcą mość, ażeby raczył wybaczyć że nie mogę przyjąć jego zaproszenia przenocowania w pałacu. Przyjaciele moi i ja udaliśmy się do bliskiego miasta będącego stolicą całej wyspy, dla wyszukania sobie noclegu w domu prywatnym. Nazajutrz odwiedziliśmy znowu gubernatora, co nam łaskawie uczynić rozkazał. Takim sposobem przepędziliśmy z dziesięć dni na wyspie, cały dzień bawiąc u gubernatora, a przez noc w oberży. Niezadługo tak się do widoku tych duchów przyzwyczaiłem, że żadnego wrażenia na mnie nie sprawiała, a jeżeli niekiedy uczułem pewną niespokojność, wnet ustąpiła mojej nieograniczonej ciekawości.

Jego książęcą mość powiedział mi, ażebym mu wymienił wszystkich, których tylko chcę od początku świata aż dotąd umarłych, to mi ich przyzwie i rozkaże im odpowiadać na wszelkie moje zapytania, z warunkiem jednak, ażeby się ściągały tylko do czasu, w którym żyli;

mogę być pewnym, dodał, że mi czystą wiedzą prawdę, gdyż kłamstwo na tamtym świecie jest wcale nieużyteczne.

Podziękowałem gubernatorowi najmocniej za tak wielką łaskę. Znajdowaliśmy się w pokoju, skąd piękny był widok na cały park, i gdy najbardziej pragnąłem oglądać widowiska przepychu i okazałości, powiedziałem więc, że życzylbym sobie widzieć Aleksandra wielkiego na czele swego wojska, po bitwie pod Arbelą; który też na znak gubernatora zjawił się z całą swoją armią na obszernem polu pod naszymi oknami.

Aleksander przywołany został do pokoju. Z największą trudnością mogłem zrozumieć jego język grecki, lecz równie i on mojego wcale nie rozumiał. Zapewnił mnie na słowo honoru że go nie otruto, ale śmierć jego była skutkiem febry wynikłej ze zbytku w napojach.

Potem widziałem Hannibala przechodzącego przez Alpy. Powiedział mi, że ani kropli octu nie miał w całym swoim obozie.

Przyzwani potem zostali Cezar i Pompejusz na czele swych wojsk, w chwili jak mieli stoczyć bitwę pod *Farsalibus*; i widziałem Cezara tryumfującego po tej sławnej walce. Życzyłem sobie widzieć w wielkiej sali senat i zgromadzenie prawodawcze. Senat wydawał mi się jak zgromadzenie bohaterów i półbogów; dru-

gie zaś jak zbiór kramarzy, łotrów i renomi-  
stów. Na moje życzenie dał gubernator znak Brutusowi i Cezarowi ażeby się do nas zbliżyli. Widok Brutusa nappełnił mnie największym uszanowaniem i podziwieniem, z rysów jego twarzy mogłem wyczytać najsurowszą cnotę, największą odwagę, stałość umysłu, miłość ojczyzny, połączone z serdeczną życzliwością dla całej ludzkości.

Z wielką przyjemnością spostrzegłem, że te dwie osoby w największej zgodzie zostają ze sobą, i Cezar wyznał mi otwarcie, że wszystkie czyny jego nie mogą iść w porównanie z jednym czynem Brutusa, przez który on życia pozbawiony został.

Miałem szczęście dosyć długo rozmawiać z Brutusem, który mi powiedział, że jego poprzednik Junius Brutus, Epaminondas, Kato młodszy, Tomasz Morus i on, są zawsze w towarzystwie ze sobą, jest to zjednoczenie sześciu mężów, do którego wszystkie wieki świata siódmego dodać nie są w stanie.

Nudziłbym może czytelnika, gdybym wszystkie znakomite opisywał osoby, które przez gubernatora przyzywane zostały dla zadosyć uczynienia mojej nienasyconej chęci widzenia świata w każdym peryodzie starożytności. Z największem upodobaniem patrzałem na tych bohaterów, którzy wrócili wolność skrzywdzo-



nym i uciemionym. Lecz żadnym sposobem nie jestem w stanie opisać rozkoszy stąd doznanej tak, ażeby u czytelnika o tem wywołać odpowiednie wyobrażenie.

## ROZDZIAŁ VIII.

Dalszy opis Glubbdubribu. — Historia starożytna i nowoczesna zostają sprostowane.

Dla zadosyćczynienia chęci mojej widzenia przedewszystkiem tych z starożytności, którzy się rozumem i naukowością wsławili, przeznaczyłem osobny dzień cały. Żądałem ażeby Homer i Arystoteles zjawili się na czele wszystkich swoich komentatorów; lecz ci ostatni byli tak niezmierni liczni, że kilkuset z nich na dworze i w przyległych pokojach czekać musiało. Na pierwszy rzut oka poznałem tych dwóch wielkich mężów i nie tylko mogłem ich łatwo odróżnić od otaczającej ich masy, ale nawet jednego od drugiego. Homer był większy i piękniejszej powierzchowności od Arystotelesa, lubo w latach podeszłych, miał postawę prostą i nadzwyczaj przenikliwe i żywe oczy. Arystoteles zaś był schyłony i chodził na jednej kuli. Twarz miał chudą, włosy krótkie i rzadkie, głos bardzo słaby. Spozstrzegłem że obydwa wcale obcymi byli swoim towarzyszom i że nic o nich nigdy nie słyszeli.

Jeden z duchów, którego nie chcę wymieniać, powiedział mi do ucha, że wszyscy ci wykładacze trzymają się zawsze w największem oddaleniu od swoich autorów; wstydzą się bowiem niezmiernie, że tak fałszywie wytłómaczyli myśli tych wielkich pisarzy i potomności je podali. Przedstawiłem Homerowi Dydymusa i Eustatyusa i wymogłem na nim, aby się z nimi lepiej obchodził niż może zasłużyli; poznał bowiem zaraz, że nie mieli dostatecznego rozumu do pojęcia tak wielkiego poety. Arystoteles zaś rozgniewał się mocno, gdy mu opowiadałem o pracach Skota i Ramusa, przedstawiając tych dwóch uczonych. Zapytał się ich, czy wszyscy do tej klasy należący są tak głupimi i ograniczonymi jak oni.

Prosiłem potem gubernatora, ażeby przyzwał Kartezjusza i Gassendego, i namówiłem ich ażeby system swój przedłożyli Arystotelesowi. Sławny ten filozof wyznał otwarcie, że wielkie popełnił w fizyce błędy, zasadzając się przy wielu rzeczach na własnych domysłach, co każdy człowiek czynić zwykłe musi. Po dług jego mniemania: system Gassendego, który naukę Epikurego ile możliwości ozdobił i jako godną przyjęcia wystawił, równie jak i zasady Kartezjusza odrzucić trzeba. Ten sam los przepowiedział systemowi o sile przyciągającej, którego teraz uczeni bronią z tak

wielką gorliwością. Nowe systema natury, mówił dalej, są jak nowe mody, które z każdym wiekiem się zmieniają; a nawet te które dowodzą zasadami matematycznymi, nie długo się utrzymują i po jakimś czasie pójdą w zapomnienie. Pięć dni przepędziłem rozmawiając z innymi jeszcze uczonymi z starożytności. Widziałem prawie wszystkich cesarzy rzymskich. Namówiłem gubernatora ażeby przyzwał kucharzą cesarza Helioabala, dla przysposobienia nam porządnego obiadu; lecz nie mogli się ze swoją biegłością popisać z powodu braku potrzebnych do tego materyałów. Niewolnik Agezylausa przygotował nam miskę zupy spartańskiej, lecz nie byliśmy w stanie więcej nad jedną łyżkę jej połknąć.

Ci dwaj panowie, którzy przybyli ze mną na tę wyspę, musieli za dwa dni wracać do domu, dla załatwienia potrzebnych interesów. Obróciłem tych parę dni na oglądanie kilku sławnych umarłych, którzy w ostatnich trzech wiekach tak w Anglii jak i innych krajach Europy wielką grali rolę. Ponieważ zawsze byłem wielkim wielbicielem jaśnie oświeconych familii, prosiłem przeto gubernatora, aby przyzwał parę tuzinów królów z ich poprzednikami aż do ósmego lub dziewiątego pokolenia. Jakże mocno zostałem w moich oczekiwaniach omylony, gdy zamiast długiego rzędu osób z dyadema-

mi widziałem w jednej familii dwóch skrzypków, trzech wesolych dworaków i włoskiego prałata; w drugiej zaś jednego opata i dwóch kardynałów.

Zanadto byłem z uszanowaniem dla głów koronowanych, ażebym miał dłużej przy tak delikatnym przedmiocie zabawić; lecz względem hrabiów, markizów, książąt nie byłem tak skrupulatnym i muszę wyznać, iż wielką przyjemność mi to sprawiło, że mogłem odkryć przyczynę odznaczających się rysów twarzy pewnych familii. Mogłem dokładnie rozpoznać, dlaczego niektóre familie mają nosy długie, inne brody kończaste, inne twarze ogorzale i wzrok okropny; dlaczego inne mają oczy piękne, twarz delikatną i białą; dlaczego w pewnych familiach znajduje się wielu waryatów i głupich, w innych wielu oszustów; dlaczego niektórych udziałem jest grubiaństwo, złoliwość i podłość, któremi się od siebie jak herbami różnią. Pojąłem dlaczego Polidor Vergili powiedział o pewnej znacznej familii owego czasu: „*Nec vir fortis, nec femina casta.*“ — „Nie ma w niej ani walecznego męża, ani cnotliwej kobiety.“

Widziałem jak okrucieństwo, fałszywość i bojaźliwość stały się charakterystycznymi znamionami niejednej familii, które w prostej linii, jak wrzody skrofuliczne, na potomność

ich przeszły, i po których ich łatwo jak po herbach rozróżnić można. Lecz i to nawet nie zadziwiło mnie bynajmniej, gdy widziałem rodzicielstwo przerwane przez paziów, lokajów, stangretów, graczków, skrzypków, komedyantów i filutów.

Najbardziej obmierziłem sobie historią nowoczesną. Gdy bowiem uważałem najślawniejszą osobę, które się od stu lat na dworach monarchów odznaczyły, znalazłem, że świat wcale oszukany został przez podłych dziejopisów, którzy największe czyny bohaterskie przypisali bojaźliwym, najmędrze rady głupim, otwartość pochlebcom, rzymską cnotę zdrajcom ojczyzny, pobożność ateistom, wstrzemięźliwość rozpustnikom, prawdę szpiegom i denuncyantom; ujrzałem, ile osób niewinnych i zasłużonych na śmierć lub wygnanie skazanych zostało, przez intrygi ministrów, którzy sędziów przekupili lub korzystali ze złośliwości partyi; ile nikczemnych wyniesiono na najwyższe urzędy, na najważniejsze, najzaszczytniejsze i największe dochody przynoszące; jaki udział w planach i wypadkach dworów, rad i senatów mieli wszetecznicy, szalbierze, wyjadacze i błazny. Jakże niskie mniemanie powziąłem o mądrości i poczciwości ludzkiej, poznawszy źródła wielkich świata rewolucyi, przyczyny najświetniejszych przedsięwzięć i nikczemne

przypadki, przez które pomysłnym skutkiem uwieńczone zostały.

Odkryłem niewiadomość i oszukaństwo pisarzy anegdot i historyi tajemnych, którzy śmierć niejednego monarchy trucizną przypisali; którzy powtarzali rozmowy monarchów z ministrami, przy których nikt nie był przytomnym; którzy znali myśli i byli w gabinetach sekretarzy stanu, a nieszczerściem zawsze a zawsze się mylą. Tu poznałem także prawdziwe i tajemne powody wielkich zdarzeń, nad którymi świat się zdumiewał; jak lubieżnica rządzi tajemnym buduarzem, buduar tajnym radcą, tajny radca zgromadzeniem senatu.

Pewien generał wyznał mi, że raz odniósł zwycięstwo przez bojaźliwość i nieroztropność swoją; admirał zaś, że zbił pomimowolnie flotę nieprzyjaciela, właśnie gdy zamyslał oddać ją własną. Trzej królowie wyznali mi, że podczas swego panowania nigdy nie nagrodzili zasłużonego człowieka, chyba że się to stało przez oszukaństwo albo omyłkę ministra, i w przekonaniu że mieli słuszność, nie postępowaliby inaczej gdyby znowu żyli. Utrzymywali, że trony mogą tylko istnieć przez zepsucie, że pewny, stały, pełen zaufania do siebie charakter, który cnota nadaje człowiekowi, jest wieczną zawadą dla spraw publicznych.

Przez ciekawość dowiadywałem się, jakim sposobem takie mnóstwo ludzi, tak wielkich nabyło dóbr i zaszczytnych tytułów, lecz moje pytania ścigały się do czasów przeszłych, a nie niedawnych, terażniejszość zaś najtroskliwiej pomijałem z obawy, ażebym nawet cudzoziemców nie obraził, że bowiem opowiadanie moje nie tyczy się bynajmniej moich współziomków, o tem czytelnika uwiadamiać wcale niema potrzeby.

Wielka liczba ludzi przyzwaną została w tym celu, i przy powierzchownem tylko rozpoznawaniu odkryłem tyle hańby, że bez zgrozy nie mogę mówić o tem. Krzywopryśństwo, uciemienie, zdrada, oszukaństwo, kuplerstwo, były najmniejsze z niegodziwości, którym winni byli swoje wyniesienie: byłem też dla nich dosyć pobłażającym. Lecz gdy mi niektórzy wyznali, że bogactw swoich nabyli przez najpodlejsze i nienaturalne rozwiązania, przez kazirodztwo, przez sromotę swoich żon i córek, zdradę ojczyzny i monarchy, niektórzy przez otrucie, przekręcenie praw dla zniszczenia niewinnych: przez to odkrycie zmniejszyło się znacznie wielkie moje uszanowanie które miałem dla osób wysokiej rangi i które każdy ma mieć dla tych, co ich natura lub los wyżej od nas umieścił. Czytałem często o wielkich przysługach, które krajom i mo-

narchom przez pewne osoby wyświadczone zostały, chciałem więc je widzieć; lecz powiedziano mi, że ich nazwiska wcale są nieznanymi, wyjąwszy kilku, których dziejopisarze jako zdrajców i podłych opisali. Ci zapomnieni stanęli przedemną, lecz z oczami spuszczonemi i w ubiorze najędźniejszym; powiedzieli mi, że umarli w ubóstwie i hańbie, a niektórzy nawet na rusztowaniu lub szubienicy. Między nimi widziałem jednego, którego los był bardzo osobliwy; koło niego stał młodzieniec blisko ośmnaście lat mający. Powiedział mi, że przez wiele lat był dowódcą okrętu i w bitwie pod Akcyum był tak szczęśliwym, że mu się udało przełamać linię nieprzyjacielską, zatopić trzy okręty i zabrać czwarty, co było głównym powodem ucieczki Antoniusza i odniesionego nad jego flotą zwycięstwa, że stojący koło niego młodzieniec jest jego synem, który w tej bitwie poległ; po wojnie, dodał, udał się do Rzymu i prosił, aby przez wzgląd na jego zasługi uczyniono go dowódcą większego okrętu, którego dotychczasowy dowódzca poległ był w bitwie; lecz prośba jego niezostała wysłuchaną i miejsce, o które prosił, oddane młodemu zostało człowiekowi, który nigdy morza nie widział, lecz był synem przyjaciółki jednej z kochanek cesarza. Za powrotem do swojego okrętu, oskarżono go

o zaniebdanie służby i dowództwo okrętu powierzone zostało ulubionemu paziowi wiceadmirała Publicoli; potem udał się na małą niedaleko Rzymu leżącą wieś swoją i tam życie zakończył.

Cheąc się przekonać o prawdziwości tej historii, żądałem widzieć Agryppe, który był admirałem całej floty w tej sławnej bitwie, zjawił się, potwierdził całe to opowiadanie i dodał jeszcze wiele szczegółów powiększających zasługi kapitana, o których tenże przez skromność zamlezał.

Zdumiewałem się, widząc przez niedawno wprowadzony zbytek takie zepsucie w tem państwie, toteż zadziwienie moje znacznie się zmniejszyło nad podobnemi zdarzeniami w innych krajach, gdzie zbytek i występki od niepamiętnych czasów panują, i gdzie całą sławę i wszystką zdobycz przywłaszczają sobie generałowie, lubo nieraz mniej do obydwoch mają prawa od ostatniego z ich żołnierzy.

Ponieważ każdy z przyzwanych umarłych pokazał mi się w takiej postaci, jaką miał za życia, widziałem z nieopisanym smutkiem, że ród ludzki od stu lat zupełnie zwyrodniał, że rozwiążność i choroby zeszcpecily angielskie rysy twarzy, zmniejszyły wielkość ciała, osłabiły nerwy, zniszczyły sprężystość muszkułów i ścięgu, i stały się przyczyną bladeści twarzy,

mejędrności i nieprzyjemnego odoru ciała. Pragnąłem też widzieć kilku z naszych rolników przeszłych czasów, którzy byli tak sławni z prostoty obyczajów, wstrzemięźliwości, sprawiedliwości, prawdziwego ducha wolności, odwagi i nieskończonej miłości ojczyzny. Widziałem ich, ale głęboki smutek przejął mnie, gdy ich porównałem z terażniejszymi, którzy się tak oddalili od cnót swoich przodków, swoje głosy sprzedają za pieniądze przy wyborach deputowanych do parlamentu, i w tem doszli takiej chytrności i bezcelności, jakie tylko nizezemni dworacy mieć mogą.

## ROZDZIAŁ IX.

Autor powraca do Maldonado. Udaje się do królestwa Luggnagg. Zostaje uwięziony, potem zaprowadzony do dworu. Przyjęcie, jakiego tam doznaje. Łagodność króla względem swoich poddanych.

Zabawiwszy dosyć długo na tej wyspie, postanowiłem nareszcie opuścić ją; pożegnałem się z gubernatorem i powróciłem z dwoma moimi towarzyszami podróży do *Maldonado*, gdzie musiałem czekać czternaście dni, nimem dostał okręt udający się do *Luggnaggu*. Dwaj wyżej wspomnieni panowie opatrzili mnie żywnością i towarzyszyli mi aż do brzegu morza.

Miesiąc cały trwała ta podróż. Wytrzymałiśmy wielką burzę i musieliśmy płynąć ku

zachodowi, dla korzystania z wiatru pasatnego, który tam w przestrzeni sześćdziesięciu mil regularnie wieje. Dnia 21. kwietnia 1708 r. wpłynęliśmy do znacznej rzeki, gdzie było miasto portowe Klumegnig na południowo-wschodniej stronie *Luggnaggu*. Zarzuciliśmy kotwice w odległości jednej mili od miasta i daliśmy znak, że potrzebujemy sternika. Niezadługo przybyło ich dwóch na nasz okręt i przeprowadzili nas przez bardzo niebezpieczne skały i rafy do obszernego kanału o długość kotwicznej liny od miasta odległego.

Niektórzy z naszych majtków powiedzieli przez nieostrożność lub może przez zdradę sternikom, że jestem bardzo znakomitym podróżnym. Ci uwiadomili o tem celników, z których jeden bardzo ściśle przedsięwziął ze mną inkwizycją skoro tylko na ląd wysiadłem. Urzędnik ten mówił ze mną językiem balnibarbskim, który rozumieją w tem mieście, a powodu znacznego z tym krajem handlu, z szczególnej żeglarnie i celnicy. Na jego pytania odpowiedziałem mu w krótkości, dołączając przytem moją historją, osądziłem jednakże za rzecz potrzebną, zamilczeć o mojej ojczyźnie i udawać, że jestem Holendrem; bo chciałem udać się do *Japonii* a wiedziałem, że ze wszystkich Europejczyków tylko Holendrom wolno jest udawać się do tego kraju. Powie-

działem więc urzędnikowi celnemu, że po rozbięciu się mojego okrętu niedaleko brzegów balnibarbskich, wyrzucony zostałem na skałę, skąd przyjęto mnie na wyspę latającą *Laputa* (która urzędnikowi była znajoma) i teraz chcę się udać do *Japonii* dla wrócenia stamtąd do mojej ojczyzny. Urzędnik oświadczył mi, że musi mnie aresztować aż odbierze instrukcye od dworu, który niezwłocznie o tem uwiadomi i w przeciągu czternastu dni spodziewa się otrzymać odpowiedź. Zaprowadzono mnie zatem do stosownego mieszkania i wartę przy drzwiach postawiono; jednak wolno mi było przechadzać się w obszernym ogrodzie i obchodzono się ze mną z wielką ludzkością i dobrocią, utrzymanie moje było kosztem króla. Wiele osób odwiedzało mnie w mojem więzieniu, a to przez ciekawość widzenia mnie, gdyż opowiadano, że przybywam z krajów, o których nigdy jeszcze nie słyszano.

Nająłem sobie młodego człowieka, który na tym samym okręcie przybył ze mną z *Maldonado*, ażeby mi służył za tłumacza. Był on rodem z *Luggnaggu*, ale żył przez wiele lat w *Maldonado* i posiadał dokładną znajomość obu tych języków. Tym sposobem mogłem rozmawiać z odwiedzającymi mnie krajowcami, to jest: mogłem rozumieć ich pytania i odpowiadać im na nie.

O oznaczonym czasie, to jest po upływie piętnastu dni, nadeszła odpowiedź królewska, zawierająca rozkaz przystawienia mnie z moim orszakiem pod eskortą dziesięciu kawalerzystów do *Traldragdubh* albo *Trilddrog-drib*; obydwie te nazwiska są jak sobie przypominam w użyciu. Cały mój orszak składał się tylko z biednego mojego tłumacza, którego wzięłem w służbę; na moją więc prośbę dano nam dwa muły do drogi. Wysłano naprzód kuryera, który o pół dnia nas wyprzedził dla uwiadomienia króla o naszym przybyciu i prośbieniu go, aby raczył łaskawie oznaczyć dzień i godzinę, kiedybym mógł mieć ten honor i szczęście *oblizania prochu z podnóżka Jego królewskiej mości*. Taki jest styl dworski tego kraju, i to nie jest bynajmniej formalnością tylko; bo gdy w dwa dni po moim przybyciu przypuszczony zostałem do audyencji, rozkazano mi czołgać się na brzuchu i oblizać proch z podłogi zbliżając się do tronu, jednakże przez wzgląd że byłem cudzoziemcem, byli tak łaskawi oczyścić pierwej podłogę, ażeby mi proch nie tak mocno dokuczał. Była to nadzwyczajna łaska, której nawet najznakomitsze i najpierwszej rangi osoby nie doświadczają i często nawet zostawiają umyślnie podłogę nieczystą i pełną kurzu, kiedy osoba mająca mieć audyencją ma możnych nieprzy-

jaciół u dworu; raz nawet widziałem usta jednego pana tak zapchane prochem, że przybywszy do tronu nie mógł ani słowa wymówić. Na to nie ma nawet zaradczego środka, bo to jest największą zbrodnią wypluć lub obcierać sobie usta w obliczu Jego król. Mości.

Inny jeszcze zwyczaj panuje u dworu, którego wcale pochwalić nie mogę. Jeżeli król zamysła odjąć życie jednemu ze swoich dworzan sposobem honorowym i łagodnym, to każe posypać podłogę brunatnym proszkiem, prędko działającą trucizną, a ta każdego, który ją zlizzał, w przeciagu dwudziestu i czterech godzin zabija. Muszę jednak oddać sprawiedliwość temu królowi z powodu wielkiej jego troskliwości o życie swoich poddanych, i żyłbym sobie ażeby europejscy monarchowie wzięli sobie z tego godny naśladowania przykład; po takim bowiem straceniu daje król zawsze najsurowszy rozkaz, ażeby miejsca za trute należycie wyczyszczono, a jeżeli służący zapomną czasem o tem, ściągają na siebie największą jego niełaszkę. Widziałem jak raz skazał paza na chłostę za to, że przez złość zaniedbał po takiej egzekucyi oczyścić podłogę, przez co młody i wielkich nadziei pan, którego potem przypuszczono do audyencji, otruty został, lubo król wcale nie miał zamiaru pozbawienia go życia. Jednakowoż

dobry ten monarcha przebaczył biednemu paziowi i darował mu karę, gdy przyrzekł, że nigdy tego więcej bez wyraźnego rozkazu Jego królewskiej mości nie uczyni.

Lecz wracam z porządku do rzeczy. Gdym się tak doczołgał i tylko już cztery kroki był od tronu, podniosłem się na kolana, uderzyłem siedm razy czołem o ziemię i wymówiłem następujące słowa, których się nauczyłem ostatniego przedtem wieczora i które to znały: „niech wasza królewska mość przeżyje słońce o jedenaście i pół miesiąca.“ Taki jest podług praw krajowych komplement, który muszą wyrzec wszyscy do audyencyi przypuszczeni. Król dał mi na to odpowiedź, której nie zrozumiałem; na co wyrzekłem następujące zdanie, któremu się był również nauczył: „mój język jest w ustach mojego przyjaciela,“ poczem wprowadzony został mój tłumacz i za jego pomocą byłem w stanie odpowiadać na wszystkie pytania, które mi jego królewska mość zadawał przez całą blisko godzinę. Ja mówiłem po balnibarbsku, a mój tłumacz przekładał moje słowa na język luggnaggski. Król upodobał sobie w mojem towarzystwie i lubił bardzo rozmawiać ze mną; kazał swojemu *Blifmarklubowi* albo szambelanowi, ażeby urządził mieszkanie dla mnie i mego tłumacza przy dworze i żeby mi dostarczał pewnej ilości

żywności, jakoż dostałem to wszystko i jeszcze codziennie worek złota na mniejsze wydatki. Trzy miesiące byłem w tym kraju, a to jedynie dla zadosyć uczynienia życzeniom króla, który bardzo był dla mnie łaskawy, wiele mi dobrodziejstw wyświadczył i bardzo korzystnych uczynił propozycyi, dla nakłonienia mnie, ażebym na zawsze został w jego kraju. Lecz daleko roztrośniejszem i sprawiedliwszem zdawało mi się, wrócić do mojej ojczyzny i na łonie mojej familii pozostałe dni życia przepędzić.

## ROZDZIAŁ X.

Pochwała Luggnaggeczyków. Opis Straldrugów czyli nieśmiertelnych. Rozmowy autora z kilku znakomitemi osobami.

Luggnaggeczykowie są wspaniałomyślnym i grzecznym narodem, chociaż posiadają i tę dumę, jaka wszystkie wschodnie narody charakteryzuje, są jednak dla cudzoziemców bardzo usługnymi i delikatnymi, szczególnie dla tych, którzy dobrego u dworu przyjęcia doznali. Zaznajomilem się z wielu krajowcami, między którymi było też kilku bardzo znakomitych; a ponieważ miałem zawsze ze sobą mojego tłumacza, mogłem więc z nimi rozmawiać, co mi wiele przyjemności sprawiało. Pewnego dnia w towarzystwie, spytał mnie się pewien zna-



komity pan, czy już widziałem *Strulldbrugów* czyli nieśmiertelnych. Odpowiedziałem że jeszcze ich nie widziałem, że jestem bardzo ciekawy wiedzieć znaczenie tego osobliwego nazwiska, i jak je można było dawać ludziom śmiertelnym. Powiedział mi na to, że czasem, acz bardzo rzadko, urodzone zostaje w niektórej familii dziecię mające czerwoną i okrągłą plamę na czole, znajdującą się zawsze nad lewą brwią, co jest niezawodnym znakiem, że nigdy nie umrze. Podług opisu jego, znamię to jest wielkości srebrnego grosza, staje się z czasem większem i odmienia kolor; w dwunastym roku przybiera kolor zielony, w dwudziestym piątym roku niebieski, a w czterdziestym piątym staje się zupełnie czarnem i wielkości szylinga, poczem nie odmienia się więcej; przydał, że tak bardzo rzadko rodzą się takie dzieci, że w całym królestwie nie ma więcej nad tysiąc sto *Strulldbrugów* obojey płci, między którymi jest jedna trzyletnia dziewczynka. Te porody nie są właściwe pewnym familiom, ale dziełem przypadku. Dzieci *Strulldbrugów* są równie jak innych ludzi śmiertelnemi.

Muszę wyznać, że z nieograniczonym entuzjazmem słyszałem tę wiadomość, a że osoba, która mi ją udzieliła, znała dokładnie język balnibarbski, oświadczyłem jej moje

wielkie zadziwienie i radość w słowach zanadto może przesadzonych. Szczęśliwy kraju—zawołałem w zachwyceniu—gdzie każde mające się urodzić dziecię, może mieć prawo do nieśmiertelności! Szczęśliwy naródzie, który masz tyle żyjących przykładów starożytnej cnoty, który posiadasz nauczycieli mogących cię uczyć mądrości przeszłych czasów! Szczęśliwi bez porównania zaci *Strulldbrugowie*, którzy urodzeniem wyjęci z powszechnego nieszczęścia ludzkiego, posiadają duch wolny i spokojny, bo nie znają ciężaru i smutku z bojaźni śmierci pochodzących. Oświadczyłem zadziwienie moje, że żadnego z nich nie widziałem u dworu; czarna plama na czole jest przecież znakiem tak odznaczającym, że uwagę moją niezawodnie by na siebie ściągnęła. Czy być może, aby tak rozsądny monarcha jak jego królewska mość, nie przyzwał do siebie tak mądrych i doświadczonych radców! Może surowa cnota tych szanownych starców jest za ostra dla zepsutych obyczajów dworu, a widzimy często, że młodzi ludzie są zanadto krnąbrni i lekkomyślni, aby się dać kierować przez radę starszych. Ponieważ jego królewska mość był tak łaskawy dozwolić mi przystępu do swojej najjaśniejszej osoby, muszę mu tę rzecz za pomocą mojego tłumacza przedstawić, i czy moją radę przyjąć raczy

czy nie, w każdym razie postanawiam zostać na zawsze w tym kraju i przyjąć od jego królewskiej mości ofiarowaną mi posadę, a to ażebym mógł przepędzić życie w towarzystwie tych tak wyższych od nas istot, jeżeli raczą osądzić mnie godnym tego zaszczytu.“

Pan, do którego to mówiłem, i który jak już wspomniałem, dobrze rozumiał po balnibarbsku, odpowiedział mi z uśmiechem oznaczającym zwyczajnie litość, jaką mamy nad czyją niewiadomością, że cieszy się iż zamysłem zostać na zawsze w kraju i prosił mnie o pozwolenie udzielenia mojego postanowienia drugim osobom w towarzystwie. Uczynił to, i przez dosyć długi czas rozmawiali ze sobą językiem krajowym z czego ani słowa zrozumieć nie mogłem, ani potrafiłem poznać po ich minach wrażenia, jakie moja mowa na nich sprawiła. Po krótkim milczeniu powiedział do mnie ten sam pan, że jego i moi przyjaciele (tak łaskawie raczył się wysłowić) są niezmiernie zadowoleni z rozsądnych uwag, które zrobiłem nad korzyściami i szczęściem nieśmiertelnego życia, i życzyliby dowiedzieć się, jaki plan życia ułożyłbym sobie, jakim bym się oddał zatrudnieniom, gdybym się był urodził *Strulldbrugiem*. Odpowiedziałem, że łatwo być wymownym, gdy idzie o tak przyjemny i bogaty przedmiot, szcze-

gólnie u mnie, którego fantazyja zawsze lubiła zatapiać się w podobne marzenia, co bym czynił gdybym był królem, generałem lub lordem, a nawet w razie nieśmiertelności utworzyłem sobie pewny plan życia, czembym się zatrudniał, na czem czas przepędzał.

Gdybym był tak szczęśliwym i urodził się *Strulldbrugiem*, poznawszy moje szczęście i różnicę między wiecznym życiem a śmiercią, starałbym się przedewszystkiem zbierać wszelkimi sposobami wielkie bogactwa; przez oszczędność i roztropne zawiadywanie niemi, stałbym się po upłynieniu dwóchset lat najbogatszym w całym królestwie. Powtóre, od pierwszej młodości mojej oddałbym się kunsztom i umiejętnościom, przezco musiałbym w mądrości wszystkich przewyższyć. Każdą nakoniec sprawę i każde wielkiej wagi zdarzenie w kraju zanotowałbym sobie, opisałbym charaktery następujących po sobie monarchów i ich ministrów, porównałbym je ze sobą i moje nad tem czynił uwagi; określiłbym wszystkie odmiany zwyczajów, mód, sposobów życia i zabaw. Przez te wszystkie nabytki stałbym się żyjącym skarbem wszelkiej naukowości, mądrości i wyrocznią całego narodu.

Po sześćdziesiątym roku nie żeniłbym się więcej, żyłbym wspaniale, ale zawsze oszczędnie. Kształciłbym umysł i serce młodzieży,

udzielając im przykłady przez długie doświadczenie i postrzeganie zbrane, o użyteczności cnoty w publicznem i prywatnem życiu. Towarzystwo moje zwyczajne składałoby się zawsze z moich współbraci *Struldrugów*, z których wybrałbym kilkunastu od najstarszych do najmłodszych. Gdyby niektórym niedostatek dokuczał, ofiarowałbym im mieszkanie u siebie i kilku miałbym zawsze przy stole. Ze śmiertelnych wybrałbym też sobie kilku zacnych, których śmierć nie sprawiałaby mi przez zwyczajanie wielkiego żmartwienia, i różne ich pokolenia uważałbym tak, jak człowiek cieszący się z rocznego odnowienia się tulipanów i gwoździków w swoim ogrodzie, nie żałując bynajmniej zwiędłych w przeszłym roku. Udzielilibyśmy sobie wzajemnie uwag i spostrzeżeń zrobionych w ciągu przeżytych wieków; jak zepsucie coraz bardziej się rozszerza, któremu usiłowałibyśmy zapobiegać przez bezustanne dawanie ludziom przestróg i ostrzeżeń, a te połączone z wpływem osobistych przykładów z nas samych, musiałyby niezawodnie przeskadzać zwyrodnieniu się natury ludzkiej, nad czem się powszechnie od niepamiętnych czasów słusznie uskarżają.

Do tego wszystkiego dodać jeszcze przyjemność pochodzącą z widzenia różnych i licznych rewolucyi państw i krajów, odmian

w wyższych i niższych klasach społeczeństwa; jak wielkie i stare miasta zamieniają się w gruzy a nędzne wsie stają się stolicami monarchii; jak sławne rzeki zmniejszają się na mialkie strumyki; jak ocean jedne brzegi opuszcza a drugie zalewa; jak nieznanome dotychczas kraje odkryte zostają; jak barbarzyństwo najwykształceniejsze narody przygnębia, a barbarzyńskie ludy stają się oświeconymi i ucywilizowanymi. Mogłbym się doczekać odkrycia długości geograficznej, perpetuum mobile, medycyny uniwersalnej, i innych ważnych wynalazków, któreby dosięgły największego stopnia doskonałości. Jak nadzwyczajne odkrycia możnaby zrobić w astronomii, będąc w stanie doczekać się przepowiedzianych przez nas zdarzeń i potwierdzenia tychże; moglibyśmy obroty komet i wszystkie odmiany w poruszeniach słońca, księżyca i gwiazd uważać.

Jeszcze długo mówiłem o innych różnych przedmiotach, które mi następczono zostały przez chęć wiecznego życia i szczęścia bez końca na ziemi. Gdy skończyłem i treść mojej mowy drugim z towarzystwa przełożoną została, wszczeła się między nimi długa rozmowa czasem śmiechem przerywana. Nareszcie powiedział do mnie ten pan, który moją mowę przetłómaczył, że towarzysze jego prosili go aby mnie wywiódł z niektórych błędów,

w jakie przez powszechną słabość natury ludzkiej wpadłem i które przeto uniewinnić można. Rasa *Struldbrugów* jest tylko jego ojczyźnie właściwą, nie ma jej ani w królestwie *Balnibarbskiem* ani w *Japonii*, gdzie miał honor być postem jego królewskiej mości, i mieszkańcy tych krajów wierzyć nawet nie chcieli żeby to być mogło. Z wielkiego zadziwienia, które okazałem jak mi pierwszy raz o tem wspomniał, sądzi: że i ja pierwszy raz o tem słyszałem i uważam to jako rzecz, która ledwo jest do uwierzenia. W dwóch wspomnianych państwach, gdzie podczas swojego pobytu z bardzo wielu osobami miał sposobność rozmawiać, przekonał się, że długie życie jest powszechnem życzeniem wszystkich ludzi, że ten nawet, który jedną nogą już stoi w grobie, drugą wszelkimi siłami opiera się temu; że zgrzybiały starzec pragnie żyć choć o jeden dzień dłużej i uważa śmierć jako najgorsze zło, które ile możności unikać każe natura. Lecz na wyspie *Luggnaggu* inaczej się rzecz ma: tu nie panuje wcale nienasycona chęć życia, bo przykład *Struldbrugów* najskuteczniej zapobiega temu. Plan życia, który ja sobie ułożyłem, jest nieroztropny i niedorzeczny, bo zasada się na bezustannej trwałości sił, zdrowia i młodości, których nawet najnierozsądniejszy człowiek, i w swoich życzeniach

najrozwiąźlejszy spodziewać się nie powinien. Nie idzie o to, jak człowiek w kwiecie wieku, zdrowiem i bogactwami obdarzony, szczęśliwie żyć może; ale jak przepędzi życie wieczne połączone z wszelkimi niedogodnościami wysokiej starości. Lubo niewielu ludzi życzyło sobie wiecznie żyć pod takimi warunkami, przecie zrobił spostrzeżenie w królestwie *Balnibarbskiem* i *Japonii*: iż wszyscy, nawet najstarsi usiłują wszelkimi sposobami odwlekać śmierć swoją, i nikt chętnie nie umiera, wyjąwszy tych, którzy są przez największe boleści i zgrzyoty dręczeni. Odwoływał się do mojego w tym względzie zdania, czy tego samego sposobu myślenia nie znalazłem w krajach przezemnie zwiedzanych albo w mojej ojczyźnie.

Po tej przemowie opisał dokładnie *Struldbrugów*. Ci ludzie, powiedział, nie odróżniają się w niczem aż do trzydziestego roku życia od innych śmiertelnych, w tym wieku zaś stają się melancholicznymi i smutnymi, co w dalszym wieku wzrasta aż do osmdziesiątego roku. Dowiedział się tego z własnego ich wyznania, inaczej nie mógłby sądzić o tem, gdyż najwięcej dwóch lub trzech *Struldbrugów* rodzi się w stu latach, i liczba ich w ogólności jest bardzo szczupła. Gdy osmdziesiątego roku dosięgli — który to wiek za najdłuższy w kraju

jest uważany — natenczas pokazują się u nich nietylko wszystkie głupstwa i słabości innych starców, ale daleko większa liczba, wynikająca z dręczącej ich myśli, że wiecznie żyć muszą; nietylko są krnąbrni, dziwni, cheiwi, mrukliwi, próżni i gadatliwi; ale niezdolni do żadnej przyjaźni i martwi dla wszystkich naturalnych skłonności, których dalej jak na drugie pokolenie nie zachowują. Zazdrość i bezsilne chucie są panującymi u nich namiętnościami; najgłówniejsze przedmioty, wzbudzające ich zazdrość są: rozwiązań młodych śmiertelnych i śmierć starych. Na wspomnienie pierwszych, martwią się że nie są więcej wstanie używać tych rozkoszy, na widok zaś pogrzebu przeklinają swoje przeznaczenie, uskarżają się gorzko na naturę, która odmówiła im słodyczy śmierci, zakończenia nudnego życia i wiecznego spoczynku. Tracą wszystką pamięć, i to tylko mogą sobie przypomnieć, co się w ich młodości lub średnim wieku stało, a i to nawet bardzo niedokładnie. Co się zaś tyczy prawdziwości lub szczegółów jakiego zdarzenia, lepiej zawsze jest spuszczać się na tradycyę jak na ich pamięć. Najnieszczęśliwsi są ci *Strulldbrugowie*, którzy stali się dziecinnymi, ci wzbudzają jednak większą litość i godniejsi są wsparcia i pomocy, bo nie mają złych przymiotów drugih swoich współbraci.

Jeżeli *Strulldbrug* pojmuje żonę ze swego rodzaju, natenczas związek małżeński przestaje, skoro młodsza z nich strona doszła ośmdziesiątego roku życia. Prawo uważa za słusność, żeby nieszczęśliwi na wieczne życie bez ich winy skazani, uwolnieni choć zostali od straszego ciężaru i nieszczęścia wiecznie żyjącej żony.

Skoro dosięgli tego wieku, uważani są za umarłych dla towarzystwa. Ich dziedzice obejmują w posiadłość ich dobra, i tylko mała suma wyznaczona zostaje na ich utrzymanie; ubodzy zaś żywności są kosztem kraju. Po tym czasie nie wolno im sprawować żadnego urzędu ani z pensyą ani bez pensyi; nie wolno im żadnych posiadłości kupować ani dzierżawić; nie mogą występować za świadków w cywilnych lub kryminalnych procesach, ani nawet w sprzeczkach dotyczących się granic posiadłości. W dziewięćdziesiątym roku wypadają im zęby i włosy, tracą zmysł powonienia, jedzą i piją co dostać mogą bez przyjemności i apetytu. Choroby, na które pierwiej cierpieli, trwają ciągle, nie zmniejszając się ani powiększając z dalszym wiekiem. W rozmowie zapominają nazwiska najpospolitszych rzeczy i najbliższych swoich krewnych i przyjaciół. Z tej przyczyny nie mogą zabawić się czytaniem, bo pamięć ich jest tak słabą, iż nim

koniec okresu przeczytają, już zapominają początek jego, przezco i tej przyjemności mieć nie mogą. Ponieważ język krajowy ciągłym podlega odmianom, więc *Strulldbrugowie* jednego wieku nie rozumieją więcej języka, którym mówią powszechnie w następującym; po dwustu latach nie są w stanie rozmawiać ze swoimi sąsiadami śmiertelnymi, wyjąwszy kilka może słów przestarzałych; żyją przeto jak obcy w swoim kraju rodzinnym. Taki był opis, który mi o *Strulldbrugach* dano. Potem pokazano mi pięciu lub sześciu z różnych wieków, z których najmłodszy nie mieli mniej jak 200 lat, i lubo im powiedziano, że jestem wielkim podróżnym który cały świat widział, nie okazali najmniejszej ciekawości zadania mi jakiego pytania. Prosimi mnie abym im dał *slumskudask*, czyli podarunek na pamiątkę. Jest to skromny sposób żebrania, dla podejścia prawa krajowego zabraniającego im surowo żebractwa, gdyż są kosztem kraju żywni, lubo prawda, że bardzo skromnie. Są oni w pogardzie i znienawidzeni u wszelkich klas ludu: urodzenie się *Strulldbruga* uważane jest jako nieszczęśliwa wróżba. Można się dowiedzieć ich wieku z rejestrów, w których urodzenie każdego jest zanotowane; lecz te nie sięgają dalej jak tysiąca lat, bo jak mówią, przez niepokoje w kraju zniweczone zostały.

Najlepszy sposób i najpospolitszy dochodzenia ich wieku jest, że się ich pytają jakich monarchów lub znaczne osoby przypomnieć sobie mogą, i jeżeli je wymieniają, natenczas z historyi dochodzi się kiedy żyli lub panowali; ten sposób jest niezawodny, bo król, którego sobie przypominają, panował nim oni doszli osmdziesiątego roku życia swego.

Straszny był widok, który mi przedstawiali ci *Strulldbrugowie*, lecz kobiety jeszcze okropniej wyglądały. Oprócz zwyczajnych oszpeczeń starości, twarz ich miała bladeść śmiertelną, której opisać nie jestem w stanie, z pomiędzy 6-ciu lub 7-miu poznałem natychmiast najstarsze, lubo różnica w ich wieku wynosiła najwięcej lat dwieście.

Czytelnik łatwo mi uwierzy, że przez ten opis straciłem wcale chęć stania się nieśmiertelnym; wstydzilem się przyjemnych i niedorzecznych marzeń, które sobie utworzyłem w razie wiecznego życia na ziemi i osądziłem, że największy tyran nie może tak okropnej śmierci wymyśleć, którejby nie przeniósł nad takie wieczne życie.

Król dowiedział się o tem, co między mną i moimi przyjaciółmi zaszło, i żartował ze mnie z tego powodu. Życzył sobie abym mógł wziąć ze sobą do mojej ojczyzny kilku *Strulldbrugów*, dla wyleczenia moich wzdolności

z bojaźni śmierci i pragnienia wiecznego życia; lecz prawa krajowe zabraniają tego surowo, inaczej byłbym gotów przyjąć na siebie pracę i kosztą transportu. Prawa krajowe względem *Strulldbrugów* zdają mi się być równie roztropne jak koniecznie potrzebne, i każdy inny kraj byłby przymuszony w podobnych okolicznościach tak postępować. Ponieważ bowiem łakomstwo jest zwyczajnym towarzyszem starości; więc ci nieśmiertelni staliby się z czasem właścicielami majątku całego narodu, może i władzy krajowej, a że tej dla braku zdolności nie, mogliby należycie sprawować, przeto stan taki, niezawodnie upadek kraju pociągnąłby za sobą.

### ROZDZIAŁ IX.

Autor opuszcza Luggnagg i udaje się do Japonii. Tam wsiada na okręt holenderski. Przybywa do Amsterdamu, a stamtąd wraca do Anglii.

Opis *Strulldbrugów*, nie nudził spodziewam się czytelnika, bo zawiera coś nadzwyczajnego i nowego; nie przypominam sobie przynajmniej ażebym kiedy coś podobnego znalazł w opisach podróży, które czytałem. Jeżeli się w tym względzie myślę, to proszę mieć wzgląd na to, że podróżujący, którzy jeden i ten sam kraj opisują, muszą też pisać o tych samych rzeczach uwagę ich na siebie ściągających i nie

zasługują bynajmniej na zarzut, że jeden od drugiego pożyczają lub przepisał.

Ponieważ między *Luggnaggiem* i cesarstwem *japońskim* wielki jest handel, być może, że pisarze japońscy wspomnieli już o *Strulldbrugach*. Pobyt mój w *Japonii* był tak krótki i tak mało posiadałem znajomości języka krajowego, że się o tem z książek japońskich dowiedzieć nie mogłem. Spodziewam się jednak, że Holendrzy uwiadomieni o tem przezemnie, będą ciekawymi i sposobnymi do uzupełnienia niedostatecznego mojego opisu.

Król *luggnaggski* prosił mnie kilka razy, ażebym przyjął urząd przy jego dworze; lecz poznawszy mocne postanowienie moje wrócenia do ojczyzny, był tak łaskaw udzielić mi do tego pozwolenie i dał mi nadto własnoręczny list rekomendacyjny do cesarza *japońskiego*. Darował mi także czterysta czterdzieści i cztery sztuk złota (naród ten ma wielkie upodobanie w takich liczbach), i czerwony dyament, który za tysiąc sto funtów szterlingów sprzedałem w Anglii.

Szóstego maja 1709 r. pożegnałem się z jego królewską mością i ze wszystkimi przyjaciółmi moimi. Król rozkazał, ażeby oddział jego gwardyi towarzyszył mi aż do portu *Glanguenstala*, na południowo zachodniej stronie wyspy leżącego. Po upłynieniu sześciu dni

dostałem okręt udający się do *Japonii*, na którym też, po piętnastudniowej podróży, zawinęliśmy do małego miasta portowego nazwiskiem *Xamoschi*.

Miasto to znajduje się na zachodnim punkcie, gdzie wąska cieśnina prowadzi od północnej strony do zatoki, na której północno-zachodniej stronie jest miasto stołeczne *Jeddo*. Przy wylądowaniu pokazałem urzędnikom celny list króla *luggnaggskiego* do cesarza *japońskiego*. Poznali natychmiast pieczęć jego królewskiej mości, wyobrażającą króla podnoszącego z ziemi kulawego żebraka.

Skoro urzędnicy w mieście dowiedzieli się o moim liście, przyjęli mnie jak jakiego ministra, opatrzyli powozem, służącymi i wszelkimi potrzebami na podróż do *Jeddo*. Przybywszy tam, wkrótce przypuszczony zostałem do audyencyi i oddałem list mój od króla *luggnaggskiego*. Otworzono go z wielkimi ceremoniami i przez tłumacza został cesarzowi na język japoński przełożony. Jego cesarska mość powiedział do mnie przez tłumacza, ażebym prośbę, jakąbym tylko miał do niego, przedstawił, a przez wzgląd na rekomendacją swego królewskiego brata, niezwłocznie ją dopełni. Tłumacz ten był urzędnikiem załatwiającym interesa dworu z Holendrami, poznał po ryśach mojej twarzy, że jestem Europejczykiem,

powiedział mi przeto rozkaz cesarski w języku holenderskim, który dobrze posiadał.

Odpowiedziałem tak jakem pierwaj był sobie ułożył, że jestem kupcem holenderskim, który na bardzo odległym stąd morzu rozbił się z okrętem, że stamtąd dostałem się morzem i łądem do *Luggnaggu*, skąd udałem się do państwa *japońskiego*, gdzie wiedziałem, że moi współziomkowie wielki prowadzą handel, spodziewałem się przeto dostać okazyją powrotu do Europy; proszę więc jego cesarską mość, ażeby raczył rozkazać zaprowadzić mnie do *Nagasaki*.

Prosiłem też, ażeby przez wzgląd na mojego protektora, króla *luggnaggskiego*, jego cesarska mość raczył mnie uwolnić od ceremonii deptania nogami krzyża, gdyż ja tylko dla dostania się stąd do Europy, a nie dla interesów handlowych do tego kraju przybyłem.

Gdy tłumacz przełożył cesarzowi moją prośbę, zdawał się być bardzo zadziwionym i oświadczył mi, że jestem pierwszy z moich współziomków, który w tym względzie okazał się tak skrupulatnym, że przez to wątpić musi, czy jestem istotnie Holendrem, i podejrzawać, że może jestem rzetelnym chrześcianinem. Jednak przez wzgląd na powody które przeto czyłem, a osobiwie na rekomendacją króla *luggnaggskiego*, przychylił się do mojej prośby,



ale trzeba postąpić przytem z największą przeczornością; powiedział, że da rozkaz oficerom doglądającym zachowywania tej ceremonii, ażeby mnie przepuścili i udawali jakby mnie przechodzącego nie widzieli: bo gdyby, dodał, Holendrzy współziomkowie moi dowiedzieli się żem zaniedbał odbyć tej ceremonii, toby gotowi byli zamordować mnie w drodze. Podziękowałem cesarzowi najniższej za wyświadczenie mi tak wielkiej łaski, i gdy właśnie niektóre oddziały wojska miały się udać do *Nagasaki*, oficer ich odebrał rozkaz zaprowadzenia mnie do tego miasta, i przytem tajemną instrukcją względem ceremonii.

Dziewiątego czerwca 1709 przybyłem po długiej i przykrej podróży do *Nagasaki*, gdzie się wkrótce zapoznałem z majtkami holenderskimi, przybyłymi z Amsterdamu na okręcie *Ambojna*, mocnej budowy, czterysta pięćdziesiąt beczek ładunku obejmującym. Zyjąc pierwęj dość długo w Holandyi, gdyż byłem na naukach w Lejdzie, rozumiałem wcale dobrze język holenderski. Majtkowie dowiedzieli się wkrótce skąd przybywam i dopytywali się u mnie o ostatnich podróżach moich i zdarzeniach, które miałem. Ułożyłem w tym celu krótką i jak tylko mogłem podobną do prawdy historią, większą jednak część zdarzeń zamilczałem przed nimi. Znałem wiele osób

w Holandyi i mogłem łatwo wymyślić nazwiska krewnych, którzy, jak mówiłem, należą do niższej klasy mieszkańców w prowincyi Geldryjskiej.

Chciałem zapłacić kapitanowi okrętu Teodorowi *Vangrut* za podróż do Holandyi, lecz ten dowiedziawszy się że jestem chirurgiem, żądał odemnie tylko połowę zwyczajnej zapłaty, pod warunkiem, że jako chirurg okrętowy służyć zechcę. Nimeśmy odplynęli, zapytali mnie niektórzy z ludzi okrętowych, czy już odbyłem ceremonią z krzyżem. Odpowiedziałem im ogólnie, że w każdym względzie zadowolniłem cesarza i dwór jego, jednak jeden złośliwy majtek poszedł do oficera i powiedział mu, że jeszcze nie uczyniłem zadosyć zwyczajnej ceremonii. Lecz oficer, który miał rozkaz przepuszczenia mnie, kazał temu łotrowi dać dwadzieścia kijów, przezco nikt mi się więcej podobnemi pytaniami nie naprzykrzał.

W tej podróży nic mi się nie zdarzyło ważnego, plynęliśmy z pomyślnym wiatrem, aż do przyładka *Dobrej Nadziei*, gdzieśmy się zatrzymali dla opatrzenia się w świeżą wodę.

Dnia dziesiątego kwietnia 1710 r. przyśliśmy szczęśliwie do Amsterdamu, straciwszy w drodze trzech ludzi przez choroby, a jednego który spadł z wielkiego masztu. Z Am-

sterdamu odpłynąłem wkrótce do Anglii na małym okręcie.

Szesnastego kwietnia zarzuciliśmy kotwicę. Nazajutrz wysiadłem na ląd i zobaczyłem znowu moją ojczyznę, po niebytności pięciu lat i sześciu miesięcy.

Poszedłem prosto do *Rédriff*, gdzie tegoż samego dnia o godzinie drugiej po południu przybyłem i zastałem moją żonę i całą familią w jak najlepszym zdrowiu.

## UWAGA.

Arbuthnot, sam uczony, ganił podróż do Laputy, dostrzegał zapewne rzuconą w niej śmieszność na towarzystwo królewskie. Pewno że są w niej miejsca wymierzone przeciw najpoważniejszym filozofom owego wieku. Utrzymują nawet, iż jedno ściąga się do Newtona. Owa przygoda z krawcem, który wyrachował talią Gulliwera za pomocą półkola, i wziął mu miarę kreśląc figurę matematyczną, a potem przyniósł mu suknie bardzo źle i jak nie dla niego zrobione, ma się ściągać do omyłki drukarza, który dodawszy jedną cyfrę do rachunku astronomicznego Newtona tyżącego się odległości ziemi od słońca, powiększył ją do nieprzeliczonego stopnia. Przyjaciołom Świfta zdawało się także, że myśl budziela<sup>\*)</sup> (*Flapper*) podało mu zwykle Newtonowi roztargnienie. Dziekan mówił raz do Drydena, że Newton był najnudniejszym w świecie człowiekiem w rozmowie. Kiedy go kto o co pytał, on pytanie to kręcił i obracał w kółko po swojej głowie nim się nareszcie zdobył na odpowiedź. Dziekan opowiadał także o Newtonie,

\*) Flapper z urzędu swego obowiązany budzić umysły znakomych w Lapucie osób.

że raz służący tegoż oznajmiwszy mu iż obiad już był na stole, nie mogąc się doczekać pana swego, wrócił i znalazł go siedzącego na drabinie przy jednej z szaf biblioteki; na jednej ręce opartą miał głowę a w drugiej trzymał książkę, i tak był w myślach pogrążony, iż służący po trzykroć nań wołając nie mógł go się dobudzić, aż nareszcie zmuszony był dotknąć się go, aby przerwać to głębokie zamyślenie. Służący ten wykonywał w rzeczy samej urząd „budziela.“ (Swift mówiąc to, kreślił kółka po czole).

Lecz chociaż Swift ubliżył może uszanowaniu jakie się należało jednemu z największych geniuszów owego wieku, i chociaż w kilku pismach swoich lekce sobie ważył zdaje nauki matematyczne, w Gulliverze jednak satyra ma raczej na celu nadużycie tych umiejętności, niżeli je same. Układacze projektów, przy akademii w Laputa, są wystawieni jako ludzie, którzy z powierzchownemi tylko znajomościami matematycznymi, porywają się do tworzenia i wydoskonalenia planów mechanicznych, już to przez fantazję, już przez obłąd umysłu. Za czasów Swifta wiele ludzi tego rodzaju nadużywało łatwości nieumiejętnych, rujnowało ich na majątku i opóźniało postęp nauki. Okrywając śmiesznością tych układaczy projektów, z których jedni zbyt zaufani w niedokładnych swych wiadomościach, sami się oszukiwali, drudzy byli po prostu oszustami, Swift nienawidzący ich, bo oni to byli przyczyną strat poniesionych przez stryja jego Godwina, wziął niektóre myśli, a może i cały pomysł, z Rabelaisa księgi V. 23 rozdziału, w którym Pentagruel zastanawia się nad zatrudnieniami dworzan królowej Entelechii.

Swift, wyśmiał także profesorów nauk spekulacyjnych, których przedmiotem badań była tak wówczas zwana magia fizyczna i matematyczna, na żadnych pewnych nieoparta prawidłach, nie wskazana ani stwierdzona doświadczeniem, chwiejąca się pomiędzy umiejętnością a mistycyzmem. Do niej należała alchemia, robienie figur bronzowych gadających, ptaków drewnianych latających, proszków sympatycznych, balsamów którymi nie ranę ale broń co ją zadała smarowano, flaszeczek esencji którą całe morgi ziemi umierzwic można, i innych tym podobnych dziwów, pod niebiosa wynoszonych przez oszustów, którzy, na nieszczęście znajdowali takich co im wierzyli. Machina owego profesora z Lagado, mająca służyć do przyspieszenia postępu nauk spekulacyjnych i do pisania dzieł we wszelkich przedmiotach bez pomocy talentu i nauki, rzuca śmieszność na sztukę wynalezioną przez Rajmunda Lullusa, a wydoskonaloną przez mądrych jego komentatorów, lub na sposób mechaniczny za pomocą którego, podług Korneliusza Agrippy, jednego z uczniów Lullusa, każdy człowiek może rozprawić w każdym jakim bądź przedmiocie, i opatrzonej w pewną liczbę wyrazów, imion i słów, utrzymywać długo dysputę z zaszczętem i subtelnością broniąc danej sobie tezy i występując przeciw niej zarazem. Czytelnik mógł mniemać, że się znajduje pośród owej wielkiej akademii w Lagado, czytając krótką i wielką sztukę inwencji i demonstracji zależącą na zastosowaniu danego przedmiotu do maszyny złożonej z rozmaitych kół, stałych i ruchomych. Głównie koło było nieruchome; na niem były nazwy wszelkich istot i rzeczy mogących być przedmiotem rozprawy,

jako to: Bóg, anioł, ziemia, niebo, człowiek, zwierzę etc. W tem kole stałem znajdowało się drugie rucho-  
me, na którem były napisane tak przez logików zwane  
akcydeneyce, jako to: ilość, jakość, stosunek etc. Na  
innych kołach były *attributa* bezwzględne i wzglę-  
dne etc. jakoteż formuły pytań. Z obracania tych  
kół, w ten sposób, aby rozmaite *attributa* na daną  
przypadały kwestyą, wynikał pewien rodzaj logiki  
mechanicznej, którą Swift miał bezwątpienia na myśli  
opisując sławną machinę, służącą do pisania książek.  
Starano się często posunąć do najwyższego stopnia tę  
„sztukę sztuk“ jak ją zwano. Kircher, który sto roz-  
maiłych sztuk nauczał, odświeżył i wydoskonalił machi-  
nę Lullusa; jezuita Knittel, ułożył podług tegoż syste-  
matu „Trakt bity wszystkich sztuk i umiejętności.“  
Brunus wynalazł sztukę logiki podług tegoż planu,  
a Kuhlmann przeraża nas do żywego zapowiadając  
wynalezienie machiny, która nie tylko sztukę uniwer-  
salnych wiadomości czyli systemat ogólny wszelkich  
umiejętności obejmować będzie, ale nawet sztukę  
umienia języków, wykładania autorów, krytykowania,  
nauczania się historii świętej i świeckiej, znania bio-  
grafii wszelkiego rodzaju, nie licząc już „biblioteki bi-  
bliotek,“ obejmującej ekstrakt wszelkich książek, jakie  
tylko kiedy były drukowane. Kiedy taki erudyta zapo-  
wiała dość czystą łaciną, że można nabyć tych wszyst-  
kich wiadomości zapomocą narzędzia mechanicznego,  
dość podobnego do zabawki dziecinnej, czas był zaiste  
ażebym satyra zgromiła te urojenia. Nie naukę więc,  
ale te sensu nie mające zaciekania się, które niekiedy  
do godności nauki podnosić chciało, starał się  
Swift okryć śmiesznością.

W karykaturze układaczy projektów politycznych  
prezibijają się torysowskie wyobrażenia Swifta, a smu-  
tna historia Struldbrugów przypomina nam czas, kie-  
dy nasz autor powziął ku śmierci obojętność, którą  
później ostatnie lata jego życia daleko słuszniej miały  
mu dać uczuć.

Walter Scott.

